



Katharine Weber



LEKCJA MUZYKI

Dreńczyło go, że nie wie dobrze, co to jest polityka, i że nie wie, gdzie kończy się wszechświat.

James Joyce, *Portret artysty z czasów młodości*

19 STYCZNIA, PADA

Ależ ona piękna. Tak, prawda, nic na świecie, absolutnie nic, nie jest równie godne uwagi jak ludzka twarz. To spojrzenie chwyta mnie, przykuwa, przyciąga.

Jest ciemno, zimno, mokro. Dlaczego tu jestem, co ja tu robię? W te krótkie dni całej tutejszej błotnistej okolicy - nie wyłączając krów, owiec i świń - zdaje się udzielać jakaś sezonowa rozpacz. Ostry, porywisty wiatr przenika moje kości i już tam pozostaje. Chwilami się zastanawiam, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mi ciepło.

Przyglądam się odbiciu własnej twarzy w lustrze; jest jakby oddalona, jakby niewyraźna, mniej rzeczywista niż jej twarz.

Wróciłam właśnie z czteromilowej przechadzki po ulewnym deszczu do sklepu O'Mahoneya, najbliższego sklepu, gdzie kupiłam coś do jedzenia, gazetę i tę księgę rachunkową (jedyne zeszyt, jaki miał na półce) i odbyłam swoją pierwszą rozmowę tego dnia, z panem O'Mahoneyem właśnie, o treści, którą przytaczam tu w całości:

- No bo to przez to, że ten żywopłot z fuksji na skrzyżowaniu tak wybujał, a to dlatego, bo go rada hrabstwa jeszcze nie przycięła, chociaż dlaczego, to ja nie wiem, bo trza go było ciąć we wrzesniu, ale rada to woli ciąć koszty niż żywopłoty, no i właśnie dlatego ten głupek, co to leciał furgonetką z chlebem, mało co paninego nosa nie urwał. Na tej drodze trza uważać... a panienka to wyglądała jak jakaś czarna plama. Akurat żem patrzył przez okno, ot tak tylko żem zerknął, żeby zobaczyć, czy aby przestanie lać. Ale gdzie tam. A panienka to się tak nie boi? Sama jak kolek w tej chałupie, bez nikogo, żeby gębę otworzyć, no chyba że do ducha starego Denny'ego. Pewnikiem jeszcze parę dni i wyjedzie od nas, dobrze gadam? Dwa tygodnie wytrzymała, co? Willy, listonosz, mówił onegdaj. Miał list ze Stanów dla panienki. Dostała go? Wybierał się do panienki, jakeśmy się spotkali pod kaplicą, a jak żem go potem widział, to mówił, że nikogo nie było w domu i że zostawił pocztę na krześle. Zna czy się chyba gadał o krześle, ale to pewno nie było żadne krzesło, tylko jaki stołek, może ten zydel podle drzwi, co to na nim siadał Denis, jak zezuwał gumiaki. No to jak jest, obrzydło już panience własne towarzystwo? Styczeń to nie pora dla turystów. W ogóle żadna pora. Lepiej niech wróci w maju. O, to jest czas dla panienki. Wróci sobie, jak powietrze będzie lekkie. A jakże. W niedzielę po mszy powietrze to dopiero jest lekkie i człowiek może sobie zrobić wypas - my to z siostrą lubimy wziąć koc, żeby nie było mokro, ona zawsze narobi kanapek i jemy sobie na słońcu, na polu mojego kuzy-

na Johna, na klifie, blisko paninej drogi, tam jest cudna trawa pełna koniczyny... czego więcej człowiekowi trzeba?

- Dziękuję, panie O'Mahoney, ale mi naprawdę tu dobrze. Zostało może trochę tego weksfordzkiego cheddara?

- A nie, nie, nie, ani kawałek, ani kawałek. To, co panienka brała, zostało jeszcze od Bożego Narodzenia; a tom się cieszył, jak żem jej sprzedał tę resztę, bo następnego nie będę miał aż do lata. Miejscowi nawet nie tkną takiego wymyślnego żarcia. W sezonie turystycznym to znajdzie takie różne szykowne to i owo, takie, co to by wziął ktoś taki jak panienka. W sezonie turystycznym to tak. Ale to nie teraz, jeśli jeszcze nie zauważyła.

Jeszcze nie wiem, czy Kieran O'Mahoney, z tymi ustami wygiętymi w podkówkę ponurego uśmiechu, który nie jest uśmiechem, w ogóle się mną interesuje, czy może raczej odczuwa niechęć wobec amerykańskich turystów. Albo może ten potok natarczywego gadulstwa to jego zwykły sposób mówienia w szary, styczniowy dzień. Nie wiem też, kiedy on właściwie nabiera powietrza w płuca.

Jedyny drugi sklep w Ballyroe znajduje się po drugiej stronie ulicy, nieco dalej, w dole wioski. Zaopatrzony jeszcze skromniej - nie ma tam prawie nic oprócz rzędów przykurzonych puszek z fasolą, środków czyszczących nieznanymi firmami, tanich wydań powieści Maeve Binchy, już z oślimi rogami, oraz lepu na muchy, który nie sprzedaje się latem.

Jestem wierna O'Mahoneyowi. Mam w tej kwestii swoje preferencje, jakby one miały tu jakieś znaczenie, jakbym mieszkała tu od urodzenia i zamierzała przeżyć tu resztę życia. Nie bywam w tym drugim sklepie, u Annie Dunne. Nie zostanę jej stałą klientką.

Właścicielka owego sklepu to wścibska kobieta, która nie ma nawet połowy wdzięku Kierana O'Mahoneya, ale za to dwakroć więcej energii, jeśli chodzi o podstępne, aroganckie indagowanie. Potrafię powiedzieć tylko tyle, że sytuuje się gdzieś między czterdziestką a sześćdziesiątką. Z daleka sprawia zapewne przyjemne wrażenie, ot przeciętna, blada Irlandka. Za to z bliska jej oczy są zimne, skórę ma naznaczoną śladami przeżytych lat i delikatnymi zmarszczkami podstarzałej zakonnicy, w wygięciu ust czai się okrucieństwo. Annie Dunne przyprawia mnie o gęsią skórę.

Przesiaduje przy oknie, na wysokim stołku obok kasy, żeby mieć oko na całą wieś. Jestem pewna, że obserwuje moje wizyty u O'Mahoneya. Niestety, znakomicie się zna na pieczeniu tradycyjnych placków jęczmiennych - pełen ich koszyk stoi zwykle na ladzie, obok stosu drewnianych, lepkich ramek z plastrami miodu z jej własnej pasieki.

Przez tę pokusę już trzykrotnie, w szczególnie mokre dni, kiedy nie miałam ochoty od razu zrobić w tył zwrot i wracać do swojej chaty, zdarzało mi się wstąpić do Annie, za każdym razem powtarzając sobie, że wcale się u niej nie zaopatruję, że tylko kupuję placki. A raz miód. Mimo że już po pierwszym zetknięciu się z Annie postanowiłam, że to będzie ostatnie. Ona udaje, że jest przyjazna, a tak naprawdę jest w niej coś złowrogiego; upiekłaby dla mnie placki z pinezkami, ot tak, dla draki.

Nie dałabym wprawdzie Kieranowi O'Mahoneyowi tej satysfakcji i nie przyznałabym mu racji, ale rzeczywiście zauważyłam, że jestem tu chyba jedyną turystką, cokolwiek by to miało znaczyć. W ogóle mało tu ludzi dających się zaliczyć do jakiegokolwiek kategorii. Wszystkiego przez okrągły rok mieszka w Ballyroe najwyżej sześćdziesiąt osób na krzyż, w tym bardzo niewiele dzieci (co mi odpowiada), toteż dzisiaj, podobnie zresztą jak w większość dni, nie napotkałam ani jednego samochodu podczas całego dwumilowego marszu powrotnego to wznoszącą się, to opadającą dróżką do zatoki Gortbreac, nad którą przycupnęła moja chata. W bębniącym deszczu, czując, jak cienkie uchwyty toreb na zakupy wrzynają mi się w odrętwiałe palce w przemoczonych rękawiczkach, próbowałam dociec, jak to możliwe, że trasa zarówno do wsi, jak i ze wsi prowadzi przeważnie pod górę.

Nie uszłam nawet połowy drogi, gdy woda wypełniła kieszenie „nieprzemakalnego” płaszcza, który w ubiegłym tygodniu kupiłam u O'Mahoneya; od tak dawna leżał w przezroczystym plastikowym worku na dolnej półce, z tyłu sklepu, wśród zbieraniny najdziwaczniejszych dóbr (kadź z sadzą piecową, gigantyczny termometr dla owiec, zapasowe części do dożarek o kosmicznym wyglądzie), że jego cena była określona jeszcze w szylingach. O'Mahoney odstąpił mi go za cztery funty. Po powrocie do domu rozebrałam się i cisnęłam przemoczone ubranie tuż przy drzwiach, w przedsionku.

Mam taką teorię, że gdy człowiek spaceruje w wietrznej irlandzkiej ulewie, ubrany w porowaty płaszcz przeciwdeszczowy nałożony na sweter irlandzkiego wyrobu, pod którym z kolei ma flanelową koszulę i dżinsy, to moknie bardziej niż wtedy, gdy stoi nago pod prysznicem. W tej chwili, już w suchym ubraniu, siedzę przy kominku z dzbankiem herbaty i czekoladowymi herbatnikami; na rozgrzanych płytach przed paleniskiem, obok moich stóp suszą się moje buty (oraz zmięty banknot dziesięciofuntowy z kieszeni dżinsów).

Ja wcale nie narzekam. Jestem tu szczęśliwa. Nigdy, przez te całe czterdzieści jeden lat, nie miałam tak niewielu wygod, a jednak od dawna nie byłam równie zadowolona. To nieprzyjazne, obce miejsce jest dla mnie jak dom. Przybyłam tu z głębokim poczuciem misji. Po raz pierwszy od wielu lat mam po co wstawać każdego dnia. I przecież ani przez chwilę nie jestem sama, cokolwiek sądzą ludzie ze wsi. Nie, bo ona tu jest. I dlatego ja tu jestem.

Przez ostatnie dwa miesiące wszystko się poprzestawiało, wszystko, cokolwiek sobie wyobrażałam, jeśli chodzi o resztę mojego życia.

Żyję w napięciu i to mnie wyczerpuje. Zmieniłam swoje życie radykalnie i pod wieloma względami. Jakim cudem tego dokonałam? I w tak krótkim czasie?

Ona tu jest. Aż trudno mi w to uwierzyć, po całym tym czekaniu. Już nie mam nic do roboty, czekam tylko na kolejny sygnał od Mickeya. Dlatego więc na razie tkwię w martwym punkcie, w bezczasowej, nieruchomej próżni, niby w oku cyklonu, gdy na krótką chwilę ukazuje się słońce. Oczywiście nie można jeszcze bezpiecznie wyjść, bo nadciąga ta druga część nawałnicy. Co ja zrobiłam?

Ta opowieść nie jest przeznaczona dla niczyich oczu. Chociaż nie, nie to chyba chcę powiedzieć. Przecież wyobrażam sobie, że ktoś kiedyś przeczyta te słowa. Mówię, że nie są przeznaczone dla niczyich oczu, ale przecież wcale nie w takim sensie, jakby to był jeden z tych rękopisów powieści, które ich autorzy chowają do szuflady, zarzekając się, że wszystko im jedno, czy ktoś je kiedyś przeczyta czy nie.

Uważam, że ludzie, którzy tak robią - znam kilku takich - nie wierzą w swój pisarski talent i albo w głębi ducha wiedzą, że ich powieść jest nieudana, że nie potrafią opowiadać, albo że nie rozumieją, czym jest ta ich opowieść. Albo wręcz myślą, że nie mają nic do powiedzenia. A tymczasem ten rękopis w szufladzie to naprawdę jest opowieść.

Moja opowieść jest opowieścią, nie wyrazem pisarskich ambicji. Wcale nie uważam siebie za pisarkę; nie wariuję ze strachu, czy wybrane przeze mnie słowa okażą się tymi najważniejszymi. Mój umysł jest zdecydowanie bardziej nastrojony na świat tego, co wizualne; jestem historykiem sztuki, który potrafi jako tako pisać, jako tako opisywać, a przecież to nie jest żadna sztuka. I to wszystko.

Motywy, jakie mi przyświecają, są typowe dla historyka sztuki, który relacjonuje zdarzenia, kataloguje sekwencje faktów, przygotowuje naukowe sprawozdanie. Wiem wprawdzie, podpowiada mi to logika, że mogę być nieobiektywna - przecież ja w tym wszystkim tkwię - a jednak nie mogę się powstrzymać, moja natura i moje kwalifikacje każą mi próbować. Czy jeśli wyobrażam sobie, że moje spostrzeżenia, wyjaśnienia muszą koniecznie zaistnieć na tym świecie, to z mojej strony przerost ambicji?

Wcale nie chcę, by ten notatnik ujrzał światło dzienne za mojego życia, nie to jest moim zamiarem. Niewykluczone, że nadejdzie kiedyś taki dzień, kiedy stwierdzę, że trzeba zniszczyć te kartki - i niewykluczone, że to się stanie już w przyszłym tygodniu. Ale skoro istnieją podstawy, by przypuszczać, że te zapiski mnie przeżyją, to zanim przeczytają je zainteresowani, opisane tu zdarzenia rozegrają się do końca, w taki czy inny sposób.

Nazywam się Patricia Dolan. To irlandzkie nazwisko, na co tutejsi stale zwracają mi uwagę, jakby z tego, że jestem Amerykanką, wynikało, iż być może nie mam pojęcia, że moi przodkowie kiedyś tam skądś się wzięli i że traktuję swoją obecność tutaj jako czysty zbieg okoliczności. Wchodzę w tę rolę, choć niechętnie. Uprzejma amerykańska turystka, wyzuta zarówno z chęci poznania, jak i świadomości historycznej. Irlandczyków wręcz fascynuje przysłowiowa nieznamość historii i kontekstu u Amerykanów. Mówię tu o kulturowej amnezji większości Amerykanów, jeśli chodzi o historię ich własnej rodziny.

Mieszkańcy Stanów Zjednoczonych to zarozumiały naród o płytkich korzeniach, to, co wydarzyło się wcześniej, niż sięga pamięć żyjących, jakoś nie interesuje większości moich znajomych z kraju. Lubimy mieszkać w naszych nowych domach, wśród naszych nowych mebli, przy nowych ulicach na nowych osiedlach. Każda rzecz jest jednorazowa i zawsze można ją czymś zastąpić. W na-

szym nowym świecie historia własnej rodziny może się wydawać po prostu nieistotna, chyba że mowa o elementarnym poczuciu przynależności narodowej, a nawet ono może wydawać się ludziom czymś mętnym. Pamiętam z czasów szkoły średniej pewnego chłopaka, który powiedział nauczycielce historii, że jest „pół-Włochem, pół-Polakiem, pół-Anglikiem, pół-Niemcem i w jednej czwartej Szwedem”. Moim zdaniem tyle osób nie czuje związku z własną historią, bo nic z niej nie rozegrało się tu, gdzie teraz żyjemy; dla wielu ludzi przeszłość to jakieś odległe miejsce na drugim brzegu oceanu.

Co więc mówią o mnie ludzie z tej wioski? Mam nadzieję, że niewiele. Domyślam się, że większość mieszkańców Ballyroe spotkała mnóstwo amerykańskich turystów, którzy nosili irlandzkie nazwiska, ale nie potrafili wymawiać ich poprawnie i nie bardzo byli pewni, z którego to hrabstwa Irlandii ich przodkowie uciekli zaledwie dwa czy trzy pokolenia wcześniej. Tacy turyści nawet nie próbują zrozumieć roli, jaką wciąż odgrywa historia w sześciu hrabstwach północy.

Nie zadają też sobie trudu, by ogarnąć zrozumieniem te ostatnie kilkaset lat, ani też, co ważniejsze, te kilka minionych dziesięcioleci. Przyjeżdżają do Irlandii, żeby się zabawić w pubach, popatrzeć na piękny krajobraz, kupić jakiś ładny sweter i dębowe pałki albo waterfordzki kryształ na prezent dla rodziny; w ogóle nie mają pojęcia, co tu się dzieje. Mieszkańcy Ballyroe nie spodziewają się po mnie niczego więcej.

A tymczasem ja naprawdę wiem, co się dzieje. Na tym polega cała ironia. Jestem w Irlandii po raz pierwszy, w samym sercu mojego dziedzictwa po Dolanach i O'Driscollach, ale zamiast rozewrzeć ramiona, by przygarnąć swoich krewniaków - zapewne jest nim co drugi rolnik w tej wiosce - muszę się trzymać na uboczu, pozostawać w ukryciu, udawać przeciętną turystkę.

Czuję się tak, jakbym przez całe życie przygotowywała się do tego, co robię teraz. A jednak muszę robić wszystko, by zwracać na siebie jak najmniej uwagi. Na razie to mi się udaje, po części dzięki temu, że trzymam się z dala od tutejszych pubów. I nie chadzam też do kościoła, tak więc jestem wyłączona z życia wsi.

Zbyt częste rozmowy to ostatnia rzecz, jakiej łaknę, a za piciem z natury nie przepadam. Samotna kobieta tutaj i tak będzie wzbudzała domysły, choćby nie wiadomo co, tak twierdzi Mickey, więc nie powinnam nikomu dawać pretekstu do rozważań. Obdarzonym bujną wyobraźnią Irlandczykom niewiele potrzeba, by zaczęli dopasowywać jakieś zmyślane opowieści do ludzi i ich losów.

Tak czy owak wcale nie mam ochoty wstępować do któregoś z trzech pubów, jakimi chlubi się ta wioska. Wszystkie wyglądają ponuro, raczej nie zachęcają obcych, zwłaszcza z tymi oknami opatulonymi w zasłony, jakby się tu szykowano do ćwiczeń z nalotami powietrznymi.

Czuję respekt wobec ustawicznie burzącego się morza. Wzrusza mnie kreska horyzontu, od której zaczyna się niebo. Wytrącają z równowagi pola, które to szybują, to nurkują, układając się w zmięzwioną, zieloną narzutę krajobrazu. Myślałam, że już nigdy więcej nie doznam tak potężnych emocji. Myślałam, że dotrwam do końca życia, wciąż czegoś doświadczając i coś myśląc, ale ani razu

nie przyszło mi do głowy, że znów będę coś przeżywać tak głęboko - byłam przekonana, że moje rany już się zasklepiły i pokryły grubymi bliznami, bliznami pozbawionymi uczucia.

W jakimś sensie ona tu nie pasuje. Ale sprzeczność, jakiej można się dopatrywać między jej elegancją a prostotą tego otoczenia, nie tworzy prawdziwego dysonansu, ponieważ spokój i beczasowość zawsze wyniesione są ponad wszystko inne.

20 STYCZNIA, WCIAŻ PADA

Po raz pierwszy usłyszałam głos Mickeya przez telefon, wczesnym popołudniem dwunastego listopada, nazajutrz po Dniu Weterana. Przestraszyłam się, że to dzwoni ktoś, kto chce mi powiedzieć, że coś się stało z Pete'em. Kiedy masz ojca policjanta, nawet jeśli to tylko zręczliwy, emerytowany policjant, to wiecznie się martwisz, że pewnego dnia odbierzesz telefon i czyjś obcy głos przekaże ci wieści, których za nic nie chcesz usłyszeć. Byłam właśnie w oddziale slajdów Księgozbioru Wydawnictw Artystycznych Fricka, gdzie pracuję, i porządkowałam niesamowicie zabałaganioną szufladę Fragonarda, kiedy przełączono do mnie rozmowę ze stanowiska informacji, gdzie zazwyczaj siedzę.

- Patricia Dolan?

- Przy telefonie.

- Patricia Dolan, córka Petera Dolana?

- Tak... coś złego z Pete'em? Jak on się czuje? Coś mu się stało?

- Ależ nie, nic, absolutnie nic.

Właśnie wtedy zauważyłam irlandzki akcent.

- No więc mówi twój kuzyn, Patricio Dolan. Nazywam się Michael O'Driscoll, jesteśmy rodziną.

- Skąd dzwonisz, Michael? - Uspokojona już, poczułam zaciekawienie. Miał młody głos. Wyobraziłam sobie studenta z chlebakiem, uciekiniera z uniwersytetu, który szuka szczęścia w Ameryce.

- Z budki w parku, po drugiej stronie Piątej Alei, naprzeciwko tego twojego muzeum - odpowiedział. - Pomyślałem, że uda ci się urwać, to napijemy się herbaty, pogadamy. Nie mam na wstęp, a zresztą i tak nie umiałbym cię znaleźć między tymi książkami.

Był młody - o szesnaście lat młodszy ode mnie - miał zwodniczo chłopięcą twarz. Przenikliwie niebieskie oczy, podobne do oczu Pete'a, ale nie do moich - ja po matce odziedziczyłam topazowobrazowe - napotykały moje spojrzenie za każdym razem, gdy obracałam się, by na niego zerknąć, kiedy szliśmy kilka przecznic w górę Madison Avenue, by coś przekąsić w E.A.T. (To mało krępujący lokal, ale za to skandalicznie drogi, więc postanowiłam, że to ja stawiam. Czuję irracjonalne przywiązanie do tego miejsca, mój związek z tamtejszymi paluszkami chlebowymi zasługuje na miano nałogu i przy każdej sposobności podpatruję z rozkoszą, jak pewna sławna pisarka z długim siwym warkoczem,

która mieszka w okolicy i lubi okupować narożny stolik, ukradkiem wzbogaca swój posiłek zupą kupowaną na wynos w barze po drugiej stronie ulicy.)

U Michaela O'Driscolla nie dostrzegałam tych rysów i odcieni, które układają się w tradycyjną „mapę Irlandii”, choć było w jego twarzy coś subtelnie irlandzkiego. Czujność przemieszana z rozbawieniem. Włosy mieliśmy niemal jednakowego koloru - bezbarwny beż. Potrzebował fryzjera. Byliśmy prawie tego samego wzrostu, co oznacza, że ja jestem dość wysoka jak na kobietę, a on dość niski jak na mężczyznę. Zauważyłam tę symetrię jednorodności naszych sylwetek w jednej z witryn sklepowych, które mijaliśmy po drodze. Wyglądaliśmy jak brat i siostra.

Kiedy się uśmiechał, a robił to często, mrużył oczy i wydawał się o dziesięć lat starszy niż w tych krótkich chwilach, gdy jego twarz traciła wszelki wyraz, przez co wyglądał jak wszyscy i nikt.

Nie był obdarty, tego powiedzieć nie można, ale jego sztruksy, flanelowa koszula i sweter, choć czyste, wyglądały na znoszone. Szedł zwinnym, pewnym krokiem, z wdziękiem nawet, ale zarazem sprawiał wrażenie bardzo czujnego, jakby bardzo ostrożnego; idąc, interesował się wszystkim dookoła.

Wypełniał sobą przestrzeń wokół mnie w taki sposób, że ni stąd, ni zowąd przypominał mi się znajomy z dawnych lat, w którym durzyłam się przelotnie, Rick Jakiś-tam z Seattle, przewodnik ze szkoły przetrwania; spotkałam go parę razy, kiedy koleżanka z uczelni, która z nim chodziła, oprowadzała go po Nowym Jorku. O tak, to był mężczyzna, który wydawał się zdolny absolutnie do wszystkiego. Rick Green. Równie ostrożny i zainteresowany otoczeniem, równie wyzywająco czujny.

Rick najwyraźniej uważał ulice Nowego Jorku za betonową dżunglę, niemalże w dosłownym sensie, i trzeba mu było wybijać z głowy pomysł wyprawy speleologicznej do nieczynnych odcinków metra linii BMT. Bywa, że spotykam mężczyzn, którzy przypominają mi Ricka, i wtedy wyobrażam go sobie przez chwilę, jak bierze się za bary z nowojorską dziczą, z całą powagą korzystając ze swych umiejętności nabytych na Zachodnim Wybrzeżu, jak spuszcza się po linie z gmachu Seagrama, jak pod drzewami Central Parku spleta hamak z nici dentystycznej, jak gotuje sobie posiłek nad płonącym egzemplarzem „Daily News”. Uwielbiam, jak mężczyzna jest taki zaradny.

Po drodze do restauracji Michael O'Driscoll powiedział, że mam na niego mówić Mickey, a już przy drugiej przecznicy uporządkowaliśmy O'Driscollów i doszliśmy do tego, w jaki sposób jesteśmy spokrewnieni. O dziwo, nigdy wcześniej na serio nie pomyślałam, że mam w Irlandii żyjących krewnych. Co jest naprawdę dziwne, teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, biorąc pod uwagę całą tę pasję, z jaką w mojej rodzinie traktuje się irlandzką politykę. Może miało to coś wspólnego z faktem, że mój dziadek Paddy został odcięty od swych rodziców, których od opuszczenia Irlandii dzieliły zaledwie dwa pokolenia.

To, co wiedziałam od dziadka i ojca o historii mojego irlandzkiego rodu, zdawało się dotyczyć wyłącznie przeszłości. Natomiast moje myślenie o teraźniejszej Irlandii, do tego właśnie momentu, miało wymiar wyłącznie mityczny, wyłącznie polityczny. I teoretyczny. Aż nie chce się wierzyć - bo

przecież gdzie ja piszę te słowa - ale tak to właśnie było. Irlandzcy krewni przybrali postać dagerotypów, w mojej głowie. Nagłe pojawienie się Mickeya było szokujące, tak jak potrafi szokować coś na filmie, zupełnie tak, jakby któryś z moich przodków powstał z grobu, wpadł się zameldować i teraz szedł razem ze mną po Madison Avenue, prowadząc towarzyską pogawędkę.

Mickey powiedział, że wychował się we wsi Rosscarbery w hrabstwie Cork, potem wyjechał do Dublina, na studia w Trinity College - jako pierwszy w rodzinie, podkreślił z dumą - i chyba mu się spodobało, gdy bez pudła rozpoznałam Rosscarbery jako miejsce urodzenia Michaela Collinsa i O'Donovana Rossy.

- Oczywiście byłaś w domu?

- Nigdy.

- O, będziesz musiała odpokutować za ten grzech i to jak najszybciej - stwierdził radośnie, otwierając przede mną drzwi E.A.T.

Dwie dziewczynki, może dwunastoletnie, w mundurkach szkoły Nightingale-Bamford, prześlizgnęły się pod jego ramieniem. Jakby świat należał do nich właśnie. Mickey pochwycił moje spojrzenie, uśmiechnęliśmy się do siebie ponad ich głowami i weszliśmy do środka.

Takie chwile nie są dla mnie łatwe. Katie miałaby teraz osiem lat. Czy czytałaby książki z serii „Domek na prerii”? Jeździła na rolkach? Domagała się pozwolenia na przekłucie uszu? Właśnie zaczęła chodzić na lekcje pianina.

Kiedy czekaliśmy, żeby złożyć zamówienie, Mickey rzucił jakieś zdanie o tym, jak się cieszy, że udało mu się mnie znaleźć. Odpowiedziałam, że i ja się cieszę, choć w głębi duszy odnotowałam niemalże upajające uczucie ulgi, że oto jest przy mnie, jakbym spodziewała się go od dawna - tak zawsze się czuję na La Guardia, kiedy w oczekiwaniu, aż Pete wysiądzie z autobusu, niestrudzenie omiatam wzrokiem twarze obcych, dopóki jeden z nich nie okaże się Pete'em.

Kiedy tak siedzieliśmy z Mickeyem i czekaliśmy na nasze jedzenie, poczułam coś, czego nie doświadczyłam od dawna - świadomość, że nie jestem sama. Nie, to było coś więcej. Czułam się bezpieczna.

Nie przyszło mi do głowy, żeby wypytywać, jakim sposobem namierzył mnie w pracy - przecież prościej byłoby zadzwonić do Pete'a albo zostawić wiadomość na mojej automatycznej sekretarce, bo Pete jest w książce telefonicznej Bostonu, a ja Manhattanu.

Od tego czasu zdążyłam się dowiedzieć, że zdobywanie informacji to jedna ze specjalności Mickeya. No i oczywiście wiem również, że Mickey nie szukał Pete'a. Wiem, że szukał właśnie mnie.

Przy zupie z chlebem - bywa, że nie mam ochoty na górnołotne rozmowy przy wymyślnym, sztynnym lunchu w towarzystwie pracowników Fricka i to był właśnie jeden z takich dni, dlatego też wcześniej zjadłam tylko jogurt przy swoim biurku, przy okazji pochłaniając kilka stron z *Morze, morze* Iris Murdoch, źródła takich oto cennych pereł mądrości: „Jedną z tajemnic szczęśliwego życia są nie-

ustanne maleńkie uczyty" - Mickey wyjaśnił, że to jego pierwsza wizyta w Ameryce i że czuje się jak jakiś zidiociały turysta. Że jest tu od sześciu tygodni, a przyjechał, bo ma szansę, choć nikłą, że dostanie się na praktykę przy wyrobie stylowych mebli u pewnego znajomego Irlandczyka, który wyemigrował z Kilkenny i teraz z wielkim powodzeniem prowadził warsztat w SoHo. (Faktycznie, dopiero co wpadł mi w oko artykuł o tym warsztacie w niedzielnym wydaniu „New York Timesa”.)

Wspomniał, że zatrzymał się w Rego Park w Queens, „na chacie” kumpla ze szkoły, który pracuje w Aer Lingus. Kiedy się uśmiechnęłam - na to wszystko, nie tylko na tę „chatę”, ale i na wielkopiętny ton, z jakim wymawiał „Rego Park” i „Queens” - Mickey dotknął mojego nadgarstka, roześmiał się i poprawił, nazywając to miejsce „mieszkaniami”, komicznie naśladując nosową amerykańską wymowę. Przy ciastkach i kawie byłam już zakochana. Myślę, że Mickey potrzebował na to nieco więcej czasu.

Oczywiście wiedział o mnie wszystko. Wiedział na przykład, że nigdy nie byłam w Irlandii. Wszystko wiedział. Chyba powinnam być wściekła, bo przez następne dni i tygodnie pozwalał, żebym mu opowiadała, jak chciałam i kiedy chciałam, o swoim dorastaniu, o dzieciństwie pozbawionym obecności matki, wszystko o Paddym i ojcu, a potem o latach studiów, o pracy, Samie, Katie, o wypadku, o moim jedynym, acz niezbyt udanym romansie w tym pustym czasie aż dotąd (żałosnym, krótkim romansie z żonatym wykładowcą historii sztuki na Columbii, który przyszedł do mnie w sprawie jakichś slajdów), że pozwolił mi opowiadać, a przecież o wszystkim wiedział.

Podejrzewam też, że zbyt łatwowiernie podeszłam do mętnych planów Mickeya dotyczących jego pobytu w Nowym Jorku, do tej absolutnej swobody, z jaką potrafił się dostosować do moich godzin pracy, do tego, że zawsze miał czas, że nie zaplanował niczego na Boże Narodzenie. Że od samego początku był tak oddany swej odnalezionej, nigdy nie widzianej, dalekiej kuzynce. I co ja mogę na to powiedzieć? Byłam rozkojarzona i tyle.

Mickey upiera się, że plan wcale nie przewidywał, że się we mnie zakocha. A jednocześnie utrzymuje, że to spadło na niego jak tona cegieł (mało znane irlandzkie powiedzonko; jaki on czarujący, myślał, że go nie znam). A to, że wszystko było od początku ukartowane? A kogo to obchodzi?

- Czterdzieści jeden, Patricio? Nie wierzę, gdzie tam. Z tym wyglądem? Przecież ciebie to chyba trzymali w jakiejś chłodni. W West Cork czterdziestojednoletnie kobiety są dokumentnie zasuszone: nie mają własnych zębów i rosną im włosy na brodach, nie mówiąc już o tych wymionach wiszących do pasa - gadał. - Kiedy wpadłem na to, żeby poszukać mojej eleganckiej kuzynki z Nowego Jorku, to nawet mi nie zaświtało, że będę się za tobą uganiał. Myślałem, że będziesz mi przypominała mamę, babcię albo siostrę Margaret ze szkoły. Ta to był istny potwór.

Powyższe uwagi, wygłoszone podczas naszej trzeciej czy czwartej wspólnej nocy, mogłyby mnie obrazić, gdyby nie to, że wymruczał je właśnie Mickey, rozwalony na moim łóżku, leniwie kreślący linię w dół mojego nagiego biodra czubkiem odurzającego palca.

To prawda, byłam w chłodni aż do Mickeya. Jak to wyjaśnić, jak wyjaśnić to, co w nim jest? Jakimi słowami opisać to przyciąganie? Chwilami to mi się wydaje takie prymitywne, że aż się tego boję - tego, jak go pożądam, mojej obsesji. Mickey mnie odmienił. Wszystko się poprzestawiało.

Kiedyś, dawno temu, widziałam w telewizji fascynujący dokument o transplantacji serca. Serce dawcy, trzymane przedtem w lodzie, zostaje ogrzane i umieszczone w piersi, w której chwilę wcześniej znajdowało się chore serce. Po wielogodzinnej operacji nadchodzi chwila próby, usuwa się zaciiski i krew wpływa do tego nowego serca, które przez kilka godzin było oziębione i nieruchome. Ogrzane krążącą krwią powoli zaczyna robić to, do czego zostało stworzone - znowu zaczyna bić.

Do moich najmilszych, najwcześniejszych wspomnień należą chwile, gdy siedziałam na kolanach mojego ojca, z głową na jego piersi, oparta o niego, nie tylko z zadowoleniem wsłuchując się w jego głos wędrujący przez powietrze do moich uszu, lecz również z uwielbieniem wczuwając się, jak ten głos wibruje we mnie, gdy Pete snuł irlandzkie opowieści, w których historia mieszała się z legendami, ludowymi podaniami i rodzinnymi mitami. To Pete właśnie opowiedział mi o Brianie Boru, to dzięki niemu do snu kołysała mnie bitwa nad Boyne. Miałam siedem lat, kiedy usłyszałam o Michaelu Collinsie, o wojnach z czarno-brunatnymi i o powstaniu wielkanocnym, a wszystko to jednej długiej nocy, kiedy nie mogłam spać, dręczona wietrzną ospą. Bez końca słuchałam o mojej własnej krwi, o Dolanach i O'Driscollach. Nie pamiętam nawet, bym kiedykolwiek nie wiedziała o wielkim głodzie, straszliwej klęsce głodu, która wybuchła w 1846 roku i została wykorzystana przez Brytyjczyków do oczyszczenia irlandzkiego krajobrazu z moich przodków.

Poznawałam też tę radosną, magiczną stronę Irlandii - wróżki, kamienne kręgi, jak spod lemieszki chłopskich pługów wyskakiwało złoto Celtów, jak na mglistych wzgórzach wyrastały megality i okrągłe forty, zupełnie jak jakieś purchawki. Próbowałam wierzyć, że święty Patryk naprawdę wyprowadził z wyspy wszystkie węże. Nauczyłam się, że bycie Irlandczykiem wiąże się między innymi z odczuwaniem głębokiego związku z historią, pisaną wielką i małą literą. My rzadko wybaczymy, a już nigdy nie zapominamy.

I również od mojego ojca dowiedziałam się, jak to jest, że dla Irlandczyków piękno i smutek, chciwość i odwaga, namiętność i okrucieństwo muszą czasami współistnieć.

A potem objawił się Mickey. Jak znaleźć słowa, by opisać, co to dla mnie znaczy? Nie tylko zwykłe pożądanie seksualne, nie tylko samotność i okazja sprawiły, że to się stało, choć wszystkie te słowa miały tu swój udział. Mickey nawiedził mnie jak grom z jasnego nieba, stanowiąc żywe ucieleśnienie całej ideologii i mitologii przekazanej mi przez Pete'a. Mogłam się temu oprzeć? Dlaczego? No i ten seks. Niesamowity seks.

Pradziadek mojego ojca, niejaki Michael Dolan, w wieku dwudziestu lat opuścił wieś Leap w West Cork - to jakieś osiem mil stąd, drogą do Skibbereen - żeby uciec przed głodem. Był rok 1848. Dotarł do Kanady i osiedlił się pod Halifaksem, gdzie jako niezłe prosperujący farmer ożenił się z

miejscową dziewczyną (nieznanego pochodzenia, nazywała się Margaret Daly albo Bailey, zależy, który zapis uznać za godny zaufania) i dorobił się trzech córek i syna. Dziadek mojego ojca, Vincent Dolan, także poślubił dziewczynę z Nowej Szkocji, Maureen O'Driscoll z Sydney, której ojciec, Joseph O'Driscoll ze Skibbereen, przyłynął z Queenstown (dzisiejsze Cobh) na pokładzie tej samej pływającej trumny co ojciec Vincenta.

Mieli sześcioro dzieci, z których czwórka zmarła podczas epidemii grypy w 1907 roku. Przeżyli tylko najstarsi synowie, bliźniacy. W czasie I wojny światowej mój dziadek Paddy Dolan dostał powołanie do wojska; miał walczyć za Anglię na jakimś francuskim polu bitwy, natomiast jego młodszy brat, Teddy - młodszy o dziesięć minut - został w domu, by doglądać farmy. Paddy wrócił z raną pobitwą i z wojenną ciężarną żoną, moją babką Rose Thornton, angielską pielęgniarzką, która wyobrażała sobie, że wyszła za jakiegoś dobrze sytuowanego Jankesa.

Klan Dolanów nie powitał ich ciepło, ten mariaż był dla nich nie do przyjęcia. Farmę dostał Teddy, który w życiu by się nie wpakował w aferę z jakąś angielską, protestancką lafiryndą. (W końcu zmarł jako samotny stary kawaler, a to, co zostało z gospodarstwa, dwadzieścia lat temu zrównano z ziemią, by zrobić miejsce dla domów mieszkalnych. W swoim testamencie Teddy - który z pewnością wywiązywał się w ten sposób z jakiejś przygnębiającej umowy z rodzicami - zapisał wszystko Kościołowi katolickiemu.) Paddy i Rose, zbyt dumni, by tam zostać, natychmiast popłynęli do Bostonu, gdzie w szczycie straszliwej fali upałów, na drugim piętrze czynszówki bez windy, przyszło na świat ich jedyne dziecko - mój ojciec. Był rok 1918.

Paddy znalazł wkrótce wśród irlandzkiej społeczności znajome twarze i najpierw miał się jakichś podrzędnych zajęć, ale w końcu został policjantem, typowym irlandzkim gliną, który zadziwił swym kanadyjskim „eh”. Rose nigdy się nie pogodziła z nieoczekiwanymi trudami, na jakie skazał ją los. W zasadzie na resztę życia położyła się do łóżka, do którego chyba rzadko zapraszała Paddy'ego, skoro nie mieli więcej dzieci. Rose Dolan zmarła na serce, kiedy mój ojciec, Pete, był jeszcze w podstawówce. Życ przestała o wiele wcześniej. Ojciec rzadko mówi o swojej matce.

- Jej śmierć oznaczała jedynie ulgę, nie smutek, ale kres smutku - powiedział mi kiedyś podczas długiej jazdy samochodem do Maine, gdzie mieliśmy spędzić tydzień u jego przyjaciela, mojego ulubionego, emerytowanego detektywa o nazwisku Jimmy Leary, kawalera, który odziedziczył rodzinną farmę w Hallowell.

W tamte wakacje miałam czternaście lat. Nie znosiłam swojego zawodnego ciała i nienawidziłam tych rozrywanych towarzysko dziewcząt, które już w ósmej klasie posiadały tajemnice wszechświata, albo przynajmniej tajemnice sukcesu. Żałowałam, że nie jestem chłopcem, bo wtedy byłabym synem, którego mój ojciec na pewno chciał - tak uważałam - zamiast mojego ułomnego kobiecego „ja”, które być może przypominało mu jego własną matkę, a już na pewno i całkiem zrozumiałe moją własną matkę, moją nieodżałowaną, zaginioną matkę.

Wygłosił tamto o śmierci Rose tonem tak zapiekłym, tak rzeczowym, że aż mu uwierzyłam - uwierzyłam, że on wierzy, że tymi słowami oddaje całą sumę swych uczuć w tej kwestii.

- Nigdy nie czułem się przez nią kochany, tylko obwiniany - dodał jeszcze i potrząsnął głową, jakby chciał ją oczyścić z kolejnych złych myśli. A potem obrócił się w moją stronę z tym charakterystycznym ruchem głowy, który oznaczał „zmieńmy-temat-dobrze?” i spytał, co ja na to, gdybyśmy zatrzymali się w Damariscocie na lody.

Nigdy nie odbylibyśmy podobnej rozmowy, choć krótkiej, gdyby tamtego dnia był z nami Paddy.

- Oszczędź dziadkowi smutku, nie poruszaj tego tematu - pouczał mnie Pete na zakończenie każdej wymiany zdań o swojej matce, chociaż nie trzeba mi było tego przypominać.

Zawsze wiedziałam, że w obecności Paddy'ego temat Rose jest zakazany.

Dziadek, kiedy nie pił, był człowiekiem gołębiego serca - jego miłość i delikatność wystarczały niemalże za wszystko mojemu dorastającemu ojcu. Paddy gotował, sprzątał i dbał o Pete'a, chociaż w domu bez żony i matki ci dwaj musieli chyba czuć się samotni.

Paddy został skazany na wygnanie przez własnych rodziców, był świadkiem rzezi w lesie Belleau i nie zdołał zapewnić matki swojemu synowi. Wprawdzie nie roztkliwiał się zanadto nad swoim smutnym losem, ale najwyraźniej potrzebował cowieczornych dawek czystego Jamesona, żeby przytępić nieco ostre krawędzie mroku.

Kochałam Paddy'ego. Dostałam po nim imię. Kiedy rozmyślałam o nim, jaki on był, kiedy ja byłam dzieckiem, zawsze buduję sobie jego wizerunek w mundurze, nigdy po cywilnemu, mimo że odszedł na emeryturę, kiedy byłam małą, i odtąd przestał się nosić na niebiesko. Pod koniec życia mieszkał z Pete'em i ze mną. Był potężnej postury, mówił tubalnym głosem, z kanadyjską wymową. Zmarł na atak serca, kiedy chodziłam do gimnazjum. Miał wspaniały, policyjny pogrzeb. Z dudami.

Pete najprawdopodobniej całe życie toczy walkę z depresją, by użyć medycznego terminu. Chandra Dolanów. Jakże podziwiam ojca za jego siłę, uczciwość, za jego zmagania, za ataki wściekłości. Moje namiętności, o ile w ogóle można je tak określić, aż dotąd były raczej intelektualne, nawet wtedy, gdy życie zdawało się układać jak najlepiej. Być może zbyt głębokie stany emocjonalne, choćby i w dobrych czasach, przybliżałyby mnie niebezpiecznie do tęsknoty za matką. Ostatnio zaś, w tych złych czasach, zdarzały mi się długie okresy, gdy nie wierzyłam, że zdołam wstać z łóżka, ubrać się i udawać normalną osobę, choćby tylko przez jeden dzień. Śmierć robi z człowiekiem takie rzeczy.

Podczas trzech ostatnich lat pogodziłam się z życiem w stanie permanentnego znieczulenia, w niezwykle funkcjonalnej, ale doskonale szczelnej odmianie izolacji. Setki godzin wierceń w kopalni psychoterapii otworzyły mi oczy na część tego, o co tu w tym wszystkim chodzi, a także na moc mojego identyfikowania się z Pete'em. Nic dziwnego, że chciałam być chłopcem. Ale o ile uważam, że pokonałam większość swoich problemów - a przynajmniej się z nimi pogodziłam, przepracowałam je,

by użyć tu tego straszego, niedosiężnego żargonu specjalistów od zdrowia psychicznego - o tyle moje przekonania, moje zobowiązania żywotnie łączą się z Pete'em.

I z Mickeyem. Koniec końców jestem tu, w Irlandii, wypełniam przeznaczenie Dolanów.

Czasami przyglądam jej się tak długo, że w końcu po prostu muszę wyjść z tego pokoju i wtedy idę na spacer, drogą dla krów, która biegnie obok chaty, okrąży zatoczkę i dalej wspina się po jej przeciwnym brzegu. Na skraju pola, na którym droga dla krów zawraca, lubię przechodzić przez ogrodzenie z kolczastego drutu, które jest tu aby zatrzymać bydło, a nie odgradzać takich jak ja, a potem wędruję na przełaj przez bardzo stare, kręte pola ku morzu, aż do skały na czubku klifu. Ta skała, a może cały wierzchołek klifu - nie jestem pewna, które - nazywa się Ardnageeha, czyli „szczyt wiatru”.

Siedemnastowieczni holenderscy malarze nie bali się wiatru. Wystarczy pomyśleć o niebach wypełniających płótna, o spiętrzonych, ciemnych chmurach, o smaganych wichrem drzewach. Na Ardnageeha wyobrażam sobie, że obok mnie stoi Jacob van Ruisdael, Jacob Ruisdael, który pracuje z właściwą sobie rzetelnością, który maluje portret wiatru.

21 STYCZNIA, POGODNIE I ZIMNO

Zasadniczo istnieją dwa takie typy rozmów, które potrafią doprowadzić Pete'a do szewskiej pasji: kiedy ja, jako lubiąca prowokować nastolatka, kilkakrotnie, bezmyślnie zmuszałam go do głębszej analizy okrucieństwa rodziców jego ojca, oraz pyskówki, w jakie potrafi wdawać się do dziś, gdy jakiś nieszczęśnik (nie ja, w żadnym wypadku nie ja) wygłosi przypadkiem niewłaściwą opinię o Brytyjczykach w Irlandii. Albo o Brytyjczykach w Chinach, o Brytyjczykach w Indiach, o Brytyjczykach w Ameryce Północnej, względnie o Brytyjczykach w Afryce. Przez cały okres prezydentury Nixona mój ojciec potrafił godzinami obarczać Brytyjczyków wyłączną winą za wojnę w Wietnamie.

Kiedy Pete dosiada swego ulubionego konia, którym jest temat klęski głodu, nie można go zatrzymać, dopóki nie potępi Angoli w czambuł i nie pośle ich do diabła za ich wyrachowaną, ludobójczą politykę. Kiedy dorastałam, byłam całkiem poważnie przekonana, że w powszechnym mniemaniu dwie najpodlejsze postacie w historii to Adolf Hitler i Lloyd George. Moja nauczycielka historii wyśmiała mnie, kiedy wygłosiłam to na głos w dziewiątej klasie. Właśnie wtedy odkryłam, że świat nie zawsze musi się zgadzać z Dolanami i że konieczne i roztropne jest ukrywanie własnych poglądów, przynajmniej czasami.

Czy musimy robić to teraz? W powietrzu czuć zmianę, chyba czuć, zawieszona broni są łamane i na powrót klejone. A może niczego nie czuć. Tyle się muszę nauczyć. Mickey jest bardzo cierpliwy. Owszem, coś się zmieniło, zawiązują się koalicje umacniane miedziakami, nowe miotły zmiatają dokładniej, ludzie zasiadają przy jednym stole, w jednej izbie i tak dalej. Ale tym razem nie będzie żadnego sprzedawania się. Pokój za wszelką cenę to żaden pokój. I nie możemy tylko siedzieć i czekać, aż

tutejsza Mała Anglia, ta z przeszłości i ta z przyszłości, załatwi to wszystko. Oni mieli swój sezon marszów, teraz my będziemy mieć nasz.

Nie będziemy czekać. Nie czekamy. Zbyt długo siedzieli nam na karku. Przeszłość zawsze tu jest, jak mówi Mickey. Nie wolno nam tracić jej z oczu.

Nie mogę powiedzieć Pete'owi o tym, co robię - tego żałuję najbardziej i tylko tego. Myślę, że byłby dumny. Nie znoszę go okłamywać i boleję nad tym, że muszę, ale w tej kwestii Mickey nie zostawił mi wyboru. Och, Pete. Wiem, że byłby dumny.

Kto wie, może każde pokolenie w każdej rodzinie dorabia się własnego mitu utraconej fortuny. Moja babka Rose załamała się ponoć dlatego, bo oszukańczo pozbawiono ją jakiegoś tam dobrobytu. Przynajmniej od tego miały się rzekomo zacząć jej smutki. Ale kto wie, jak wyglądała pierwsza część jej życia? Mało co wiemy o bagażu, z którym płynęła do Nowego Świata. Była sierotą, dzielną i reżolutną pielęgniarzką ze szpitala polowego, tak twierdził Paddy i tak twierdził Pete, więc na pewno nie brakowało jej ani odwagi, ani oleju w głowie. Miała wszelkie kwalifikacje do tego, by sobie poradzić z tak stosunkowo łagodną przeciwnością losu, jaką byli ci Dolanowie o zakutych łbach, którzy wzdragali się przed przyjęciem do swego klanu dziewczyny z Anglii i rzucali mroczne aluzje, że nikt tak do końca nie wie, czy chleb z tego pieca to nasze dzieło czy raczej pamiątka po jakimś angielskim żołdaku.

Jej gorzkość, niezależnie od źródła, z którego wypływała, była głęboka. Można powiedzieć, że sama roztrwonila własne szczęście. Mój ojciec przez całe życie bolał nad tą stratą, nad tą utraconą miłością. Czasem się zastanawiam, czy rzeczywiście żywiłby tak radykalne poglądy na temat Anglii, gdyby nie to, że zatruli życie nie tylko Irlandii, ale i jemu samemu.

Aż do czasu regulaminowego przejścia na emeryturę, jakieś dwanaście lat temu, Pete był, czemu nie ma się chyba co dziwić, detektywem w bostońskiej policji. Teraz ma swoje mieszkanie przy O Street w południowym Bostonie. Przez kilka lat pracował na pół etatu jako strażnik w banku, chociaż ze swoją emeryturą wcale nie musiał dorabiać. Prezentował się wspaniale, nawet w tym maskaradowym mundurze ochroniarza. Prawie wszystkie wieczory spędza u Foleya; to taki irlandzki bar w Southie, gdzie mówią w jego języku.

Myślę, że Pete podjął tę pracę w ochronie częściowo właśnie z powodu uniformu, dzięki któremu czuł związek ze swoją młodością, ze służbą w marynarce podczas wojny i z pierwszymi patrolami świeżo upieczonego gliniarza. Mężczyznom Dolanów jest do twarzy w mundurze. Zaczynał w Dorchester, po czym przenieśli go do śródmieścia; dopiero potem dosłużył się stopnia detektywa i zaczął się ubierać w cywilny uniform, który nosił przez całe moje dzieciństwo - spodnie khaki, koszula z guziczkami na rogach kołnierzyka i wytarta tweedowa marynarka, a do tego rzadko noszony krawat, zwisający z kieszeni niczym stetoskop, który lekarzowi wystaje z kieszeni kitla.

Zapewne z tego spisu ubrań Pete'a mogłoby się wydawać, że wyglądem przypominał profesora, ale kiedy byłam mała, dwie rzeczy odróżniały go od ojców moich koleżanek, przeważnie naukowców i prawników - jego buty, czarne, wypucowane, wzmocnione na noskach i to, że marynarki nie chciały mu się układać na rewolwerze.

Moja matka umarła, gdy miałam pięć lat. Umarła w wieku trzydziestu jeden lat, na raka piersi. Kiedy o niej myślę, to nie wiem, czy tak naprawdę pamiętam ją, czy raczej jak za nią tęskniłam. Najlepiej zapamiętałam jej dłonie.

Musiała być wtedy chora, bliska końca, leżała w łóżku, niewykłuczone, że spała, a ja siedziałam przy niej. Nie pamiętam, by coś mówiła - nie mogę sobie przypomnieć brzmienia jej głosu. Być może wtedy widziałam ją po raz ostatni. Nie wiem, czy tamtego dnia spędziłam z nią godzinę czy pięć minut. A może pamięć mnie zawodzi, może mieszam kilka osobnych zdarzeń w ten jeden, krystaliczny obraz. Mam takie bezdźwięczne wspomnienie jaskrawego blasku słońca, cieni padających ukośnie na parapet, woni świeżo wypranej pościeli, woni maskującej jakiś inny zapach - może stęchłej wody w wazonie z umierającymi kwiatami, może samej śmierci.

Jednak moje najwyraźniejsze wspomnienia prawie zawsze są wizualne. Kiedy o niej myślę, myślę o tamtym dniu, a kiedy myślę o tamtym dniu, przypomina mi się kontrast jej żółtawej skóry z białą pościeli, jej dłonie jak ptasie skrzydła muskające koldrę; taki sam gest rozpoznałam wstrząśnięta dwadzieścia lat później, przed van der Weydenem, w Starej Pinakotece w Monachium.

Moje własne dłonie, odkryłam to tamtego popołudnia - bo przecież to światło, które zapamiętałam, musiało być popołudniowym światłem? - stanowiły miniaturowe kopie jej dłoni, choć skóra na moich była młoda i pasowała do nich idealnie, podczas gdy jej skóra była wiotka i jakby krucha. Gdy matka spała, delikatnie podszczypywałam i naciskałam malutkie namiociki łatwo poddających się fałdek, które pokrywały kości na grzbiecie jej dłoni. Kładąc dłoń na jej dłoni, porównywałam je.

A potem już jej nie było. Całe moje wspomnienie o niej składa się z jej nieobecności.

Nazywała się Louise Kelly, pochodziła z Nowego Jorku. (Prawdopodobnie była z tych Kellych, którzy wyemigrowali z Mallow, również w hrabstwie Cork, pod sam koniec wielkiego głodu w 1851 roku.) O jej rodzinie wiem niewiele. Jej matka wywodziła się z Grossów z Bridgeport w Connecticut, niewykłuczone, że była Żydówką. Nie pamiętam swoich dziadków ze strony matki - byłam niemowlęciem, kiedy w wieku emerytalnym wyjechali do Arizony, a potem zmarli nieoczekiwanie, jedno po drugim, zanim skończyłam osiem lat, zostawiając mi w funduszu powierniczym trochę pieniędzy, które bardzo się potem przydały. Dziadek Kelly był strażakiem w Queens. Nie zostały mi po nich żadne prawdziwe wspomnienia, to znaczy takie, które nie byłyby wsparte garścią spłowiałych fotografii z ząbkowanym brzegiem, fotografii pary siwowłosych ludzi trzymających na kolanach mnie - malutkiego noworodka. Moi rodzice poznali się w Bostonie, podczas obchodów dnia świętego Patryka - matkę zaprosił tam chłopak, z którym ojciec służył w wojsku. Podobno tak się to odbyło: Kim jest ta ładna

dziewczyna? - pyta kumpla mój ojciec. Ja ci jej nie przedstawię, odpowiada kumpel. Dlaczego nie? - pyta ojciec. Bo - mówi tamten - jeśli to zrobię, to ty się z nią ożenisz.

Moja matka uczyła piątą klasę w publicznej podstawówce, do której potem chodziłam. Nie posłano mnie do szkoły parafialnej, mimo że byłoby to dość oczywiste. W naszym domu Boga na pewno się szanowało, jednak nie bano się Go. Pete nazywał siebie upadłym katolikiem, a że dziadkowie nie wywierali szczególnego nacisku - Paddy nigdy o tym nawet nie wspominał - rzadko bywaliśmy w kościele. Rzecz jasna chrześcijaństwo interesuje mnie jako temat całego mnóstwa najwspanialszych obrazów świata. A poza tym, myślę sobie teraz, zawsze uważałam się nie za katoliczkę, lecz za irlandzką katoliczkę. Staram się chodzić na mszę w Wigilię i Wielkanoc, chociaż nie bardzo wiem, dlaczego to robię. Chyba dlatego, że lubię te zapachy, zapachy kadzidła i szczerzej wiary, która bije od starych ludzi. Lubię ten rytuał, lubię jego rytm, w takim samym stopniu jak jego znaczenie. Wielkość i małość każdej chwili.

Zapewne już do końca życia będę w taki sposób tęskniła za matką, za moim wyobrażeniem matki. Ale odkąd przybyłam do Irlandii, myślę wyłącznie o ojcu. Czuję bardzo wyraźnie, że tą drogą do wsi brnie nie kto inny, jak właśnie córka Pete'a Dolana, właśnie ona, nareszcie tutaj, nareszcie na ziemi swych przodków. Nie żeby Pete kiedykolwiek tu był. Tyle gadał, a przecież nawet nie postawił stopy na tej wyspie. Nigdy nie podróżowaliśmy dalej niż do Maine albo Cape Cod, na parę tygodni każdego lata. Dorastałam jako kolejna samotna jedynaczka Dolanów, uczyłam się w państwowych szkołach i pierwsze dwadzieścia lat życia spędziłam wyłącznie w bostońskiej dzielnicy Mission Hill, którą jedynie Huntington Avenue oddziela od Brookline w Massachusetts, miejsca narodzenia świętego Johna Fitzgeralda Kennedy'ego.

Ale właśnie w tej chwili, gdy czuję tak silny związek z każdą skałą, z każdym krzakiem janowca w West Cork, naprawdę mnie przygnębia, że nie mogę wyznać nikomu w Ballyroe, iż mam w sobie krew O'Driscollów. Zdobywam się na niewyraźny, obojętny uśmiech, kiedy kolejna osoba wspomina, że - a jakże - wyglądem przypominam Dolanów, że są Dolanowie w Skibbereen, Dolanowie w Timoleague, Dolanowie aż w Red Strand, Dolanowie w Clonakilty, nawet nie pięć mil stąd. Nie wątpię, że oni tam są i nie wątpię też, że kilku z nich to moi kuzyni.

Tak jak Mickey. (Jego prapradziadek James O'Driscoll był bratem mojej prababki Maureen O'Driscoll-Dolan; mieszkali w Skibbereen.) Jak to możliwe, że znam go zaledwie kilka tygodni, od połowy listopada?

Ależ ja zawsze go znałam. Mickey to światło mego życia, płomień moich lędźwi. Michael Patrick O'Driscoll. On ma zaledwie dwadzieścia pięć lat, ja czterdzieści jeden - trudno mnie porównywać do Humberta Humberta, ale to jest trochę szokujące i ja sama jestem trochę zaszokowana - i pragnę go z całej duszy.

Nawet w tej chwili, gdy o nim myślę, zmienia się rytm mojego oddechu. Rumienię się, samotna w tym pokoju, w tej chatynce na końcu świata. Czy ja straciłam rozum? Czy on jest tylko jakąś atawistyczną fantazją, którą sama wymyśliłam? Czy ja wyśniłam to błogie, irlandzkie interludium?

Na pewno odcięłam się od przeszłości. Znowu żyję, odrodzona. Istnieję w świecie inaczej, dzięki Mickeyowi. Tak to miało być, jeśli cokolwiek miało być. Ależ to melodramatycznie brzmi. Tylko jakie słowa wyraziłyby to lepiej? Mickey O'Driscoll poprosił mnie, żebym tu przyjechała, i ja to zrobiłam.

Ludzie postępują czasami właściwie z niewłaściwych pobudek.

W głębi serca nie mogę powiedzieć, bym była aż tak oddana sprawie bezwarunkowego, trwałego uwolnienia od brytyjskiego jarzma, jak jestem zakochana w Mickeyu. Czy byłabym tu, gdy ktoś inny zwrócił się do mnie przed dwoma miesiącami, apelując do mnie na gruncie czystej ideologii? Szczerze mówiąc, zapewne nie. Chociaż kto wie. Nigdy się tego nie dowiem.

Wiem natomiast, że wierzę całym sercem, że brytyjski rząd nie ma żadnych praw do Irlandii, że nigdy ich nie miał i nigdy mieć nie będzie. Obecność brytyjskiego rządu w Irlandii to uzurpacja i zbrodnia.

Tak mniej więcej brzmiały słowa Jamesa Connolly'ego dowodzącego Armią Obywatelską podczas ataku na budynek Poczty Głównej, od którego rozpoczęło się powstanie wielkanocne w 1916 roku. W trakcie walk został ranny, więc przed egzekucją, dokonaną przez brytyjskich żołnierzy, podparto go i przywiązano do krzesła. Miałam dziesięć lat, gdy Paddy dał mi pięć dolarów za nauczenie się słów Connolly'ego na pamięć. Uwielbiał się popisywać moją recytacją, kiedy wędrująca po dzielnicy partia pokera trafiała do naszego domu.

Jeśli mój występ odbywał się w momencie, gdy impreza trwała już w najlepsze - to znaczy jeśli piwo i irlandzka whisky lały się już od jakiegoś czasu - przyjmowano go zwykle łzami, okrzykami i mnóstwem sentymentalno-pijackich śpiewów.

Tak czy owak, jestem głęboko przekonana o słuszności naszego planu. I Pete też na pewno byłby za nim, gdyby o nim wiedział.

- Pewnie bym polubił twojego starego. W końcu po owocu poznaje się drzewo - powiedział Mickey, gdy tego pierwszego popołudnia nad zupą zacytowałam mu w ogólnym zarysie tyradę Pete'a Dolana na temat Charlesa Edwarda Trevelyana i plugawości tak zwanej Komisji Pomocowej, która przewodziła ludobójstwu zwanemu przez nas „zarazą ziemniaczaną”.

Oczywiście wiele zależy od drzewności samego drzewa, odparłam na to, i Mickey się roześmiał.

Jest w całej holenderskiej sztuce umiłowanie realiów, oddanie prawdzie. Wnętrze kościoła z jego bezruchem. Ręka i jej gest. Krajobraz i jego rozległości. Obłok w jego ruchu. Ludzie jako ludzie.

Psy jako psy. Ser jako ser. Niebo, to nieodmierne niebo, nadające wszystkiemu proporcje i kontekst. Ale jest też w niej zawsze intymność, intymność doświadczenia, w którym nic nie jest udawane.

Dostrzegam głęboką więź między irlandzką zarliwością a holenderską powściągliwością, właśnie tutaj, na skraju morza, w tej chacie, sam na sam z nią, otoczona jej promiennym spokojem.

22 STYCZNIA, MGLIŚCIE, DESZCZOWO, SŁONECZNIE

Po raz pierwszy zwiedzałam Muzeum im. Isabelli Stewart Gardner podczas szkolnej wycieczki, w szóstej klasie. Byłam zdumiona, wstrząśnięta tym, że istnieje takie miejsce. Oprowadzała nas czterdziestoparoletnia, jakby udęczona kobieta, którą tytułowano „pani docent”; nigdy wcześniej nie słyszałam tego słowa, więc wydała mi się egzotyczna, doceniana, dociekliwa i inteligentna. Aż drżałam z podniecenia na myśl o tym, że ta kobieta żyje jakby po to tylko, by dostarczyć mi wiadomości o obrazach. I zachwyciłam się nie tylko samymi płótnami - ktoś uznał te dzieła za tak strasznie ważne, że aż postanowił wybudować wspianą willę, która je wszystkie pomieści.

Pani docent przerobiła z nami błyskawiczny program dla szkół podstawowych, a potem wlekliśmy się od jednego końca gmachu do drugiego, zatrzymując się tylko wtedy, gdy miała coś do powiedzenia o jakimś obrazie uznanym przez kogoś za interesujący dla uczniów. Moi koledzy z klasy szturchali się, szurali nogami, wiercili się, poszeptywali i najwyraźniej się nudzili, ja jednak byłam zauroczona, zafascynowana, wniebowzięta.

- Czasami możecie się dowiedzieć najrozmaitszych rzeczy o innych ludziach, jeśli przyjrzycie się uważnie jakiemuś obrazowi, dzieci - mówiła błagalnym tonem pani docent, starając się zagłuszyć nasze hałasowanie. - Czy ktoś może mi coś powiedzieć o postaciach na tym obrazie?

Wskazała na wiszące przed nami płótno, *Koncert Vermeera*. W życiu nie widziałam niczego podobnego. Wszelka sztuka obecna w moim domu nie była szczególnie interesująca - z wszystkich obiektów wiszących na ścianach jako najatrakcyjniejszy zapamiętałam darmowy kalendarz z banku, zawierający reprodukcje dwunastu sztychów Curriera i Ivesa.

Tutaj natomiast objawił się jakiś nowy świat. Chłonełam zawilości światła i cienia na pokrywającym stół kobiercu. Ściana jarzyła się odbitym blaskiem słońca. Strasznie chciałam się znaleźć w tym pokoju, razem z tymi trzema ludźmi. Na wewnętrznej stronie klapy klawesynu widać było namalowany krajobraz, jeszcze jeden wisiał na ścianie. Ileż możliwości! Ledwo umiałam ogarnąć całe to życie odzwierciedlone na tym obrazie, tę obietnicę życia. To umiłowanie realiów. Miałam wrażenie, że ten obraz mnie niszczy, wsysa.

Ni stąd, ni zowąd zniecierpliwiła mnie postać mężczyzny, który siedział na krześle w samym środku grupy, w samym środku płótna, i zasłaniał mi widok na dłonie kobiety siedzącej przy klawesy-

nie. Zapragnęłam zobaczyć te dłonie. Ktoś za moimi plecami wydał ordynarny odgłos, a potem usłyszałam zduszony chichot. Ktoś jeszcze szepnął słowo „pierdnął”.

- Jakiś ochotnik? - z rozpaczą zaszcebiotała pani docent. Nasze spojrzenia się spotkały, skinęła do mnie głową.

Poczułam na twarzy uderzenie gorąca. Docent skinęła raz jeszcze. Czułam, że inne dzieci patrzają na mnie. Spojrzałam na *Koncert*, rozpaczliwie szukając słów.

- Na obrazie na ścianie są trzy osoby, to tak jakby to były trzy osoby w pokoju - zaczęłam z wahaniem. - Ten mężczyzna, który siedzi tyłem do nas... - Właśnie się zorientowałam, że on gra na lutni i że też jest muzykiem, a nie słuchaczem. - Ma ciemne włosy, tego koloru co kapelusz mężczyzny z obrazu w środku obrazu. To podobne do tego, jak jedno słowo rymuje się z innym słowem, no bo różne rzeczy na tym obrazie pasują do siebie jak rym, tak jakby - dokończyłam bez przekonania.

Pani docent uśmiechnęła się do mnie. Dzieci zaczęły się śmiać. A mnie łzy napłynęły do oczu.

Nie płakałam ze wstydu, tylko dlatego, że ten obraz tak mnie poruszył. Stwierdziłam, że ja też chcę zostać panią docent, kiedy dorosnę. Sądzę, że bez przesady można uznać ten moment za mój pierwszy krok w stronę studiowania historii sztuki.

Później spędzałam w Gardner tyle czasu, że większość strażników mówiła mi po imieniu. Pete dał mi na dwunaste urodziny wielki album z reprodukcjami holenderskich mistrzów. Polubiłam pejzaże i martwe natury, za to przedstawienia wnętrz studiowałam z głębokim przekonaniem, że te pogrążone w bezruchu pokoje mają coś dla mnie - cudowne poczucie spokoju, pocieszenia i spełnienia. Czułam się tak bardzo kochana przez te obrazy.

Ktoś puka. Nora O'Driscoll.

Ciąg dalszy nastąpi...

PÓŹNIEJ, PO POŁUDNIU

Chata na Skale, tak właśnie nazywają ją niektórzy miejscowi. Należała do starego Denisa O'Driscolla, który zmarł dwa lata temu, w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat, jako ostatni z trzech braci, starych kawalerów, którzy mieszkali tu całe życie - dwaj pozostali bracia oraz siostra założyli rodziny i wyprowadzili się. Po jego śmierci dom z rzadka wynajmowano przypadkowym, nieustraszonym turystom, przy czym rozmaici bratankowie i siostrzeńcy Denisa (jednym z nich jest wuj Mickeya) do teraz się kłócą, kto ma jakie udziały procentowe w domu i jak to osiągnąć, by wyciągnąć z niego jak najwięcej pieniędzy. Mickey twierdzi, że jak kurz opadnie, chałupa pójdzie na licytację, ale to może potrwać lata, nawet z pomocą kogoś, kto ma znajomości w Urzędzie Katastralnym.

Po śmierci Denisa O'Driscolla bez wątplenia porządnie wysprzątało te pięć małych izdebek - zauważyłam całkiem świeże ślady po ognisku na samym środku pola. Jest coś wzruszającego w po-

skręcanych resztkach zardzewiałych sprężyn z materaca wystających ze sterty popiołu. Domek urządzone spartańsko, ale w miarę wygodnie. Są dwa „elektryczne ognie”, czyli po prostu elektryczne piecyki, a zresztą teraz, gdy wreszcie opanowałam sztukę rozpalania torfu cuchnącą podpałką, kominek daje sporo ciepła. Drugiego poranka mojego pobytu tutaj Nora nie posiadała się z oburzenia, że rozpałałam ogień kawałkami powyginanych wierzbowych witek, które przyniosłam ze spaceru. Powiada, że to przynosi pecha.

Trzy pokoje na górze pomalowano na biało, są skromnie umeblowane, ale łóżko jest nowe, podobnie jak niektóre komplety zgrzebnej pościeli i ręczniki. Zostało też trochę starej pościeli, miękkiej jak aksamit, ale za to z niewygodnymi grudami frankensteinowskich szwów w miejscach, gdzie ją łątano i cerowano. Posadzki na dole to goły beton, wylany, wyjaśnił Mickey, zaledwie parę lat temu na klepisko. Krąży plotka, jakoby O'Driscollowie mieli zwyczaj zakopywać złote monety po różnych kątach swojej chaty i że wciąż jest tu gdzieś zagrzebana ukryta fortuna.

Na ścianach nie ma absolutnie nic i dlatego zwracam uwagę na wytarty, śmietankowy pudding murów, na ten niezwykle gruby, szorstki tynk. Jedyne okna na piętrze osadzono w szczytach domu, każde ma parapet głęboki na dwie stopy. Środkowy, pozbawiony okien pokój to bardziej schowek, z szafkami wbudowanymi w dwie przeciwległe ściany. W jednej trzymam ubrania. Szara walizka marki Samsonite znakomicie pomieściła się na półce drugiej szafki.

Elektryczność stanowi tu względną nowość - do wsi dotarła w 1964 roku, tak przynajmniej twierdzi Mickey. Bracia O'Driscollowie ręcznie pompowali wodę ze studni do zbiornika na strychu, a do grzania wody i gotowania używali gazu z butli.

Niecałe sześć miesięcy temu wreszcie podłączono chatę do prądu, bez szczególnego rozmachu zresztą. W każdym pokoju świeci się tylko jedna, goła żarówka, ale już się przyzwyczaiłam do tego, tak jak przywykłam do dziwnych gniazdek elektrycznych, które trzeba za każdym razem włączać, do pieczenia tostów w gazowym grillu i do suszenia wypranych w balii ubrań na osłonie kominka, przez co moje pranie jest przesiąknięte dymnym zapachem torfu, nawet nie takim nieprzyjemnym. (Ale tak naprawdę dopiero teraz doceniłam tę miękkość, jaką nadaje pościeli i ręcznikom suszenie w suszarce.)

Woda płynie tu piekielnie gorąca, ale jest jej mało, a strasznie trudno wyrobić w sobie nawyk planowania kąpeli dwie godziny naprzód (brakuje prysznica). Ciągle zapominam o tym małym przełączniku na ścianie, żeby zagrzać całą wannę wody; gdy tego nie zrobię, mam do dyspozycji zaledwie pięć galonów wrzątku na zmywanie i wszystko inne. Kiedy poskarżyłam się Kieranowi O'Mahoneyowi, że to jest tak niewygodnie urządzone, pokiwał głową ze zrozumieniem i powiedział:

- Ano niewygodnie. Ja to nie raz zębem sobie myślał, a co tam, wykąpię się, ale ta woda grzała się i grzała, no i po ochocie.

Nauczyłam się korzystać z miski, żeby nie zużywać całej gorącej wody na mycie naczyń pod bieżącym strumieniem. Cóż to za ascetyczny naród, myślę czasami, ale z kolei znacznie częściej na-

chodzi mnie refleksja na temat marnotrawstwa kraju, z którego pochodzę. Mickey powiedział mi, że tak się jakoś złożyło, iż to jego bratu Seanowi, który pracuje dla O'Donovana w Skibbereen, zlecono zainstalowanie miedzianego bojlera elektrycznego, akurat dzień przed moim przyjazdem.

W całym domu wciąż czuje się obecność Denisa O'Driscolla, i to z wielu powodów; leżąca na gzymsie kominka wrzoscowa fajka, wciąż jeszcze ze zwęglonym tytoniem w czaszy, służy za podpórkę dla pliku zmiętych pocztówek o tematyce religijnej (wszystkie przysłała w 1989 roku siostra Ann, kimkolwiek była czy jest, z pielgrzymki do Knock, sanktuarium położonego na północ stąd), a przy drzwiach stoi stara laska z zagiętą rączką, mocno wypolerowaną od zużycia. Wyszorowany blat kuchennego stołu z jednej strony znaczą wypalone plamki, zapewne od żaru z fajki. Dwa noże z szuflady w kuchni ostrzono tyle razy, że metal stał się w cienki łuk.

W pokoju - który Nora O'Driscoll nazywa kuchnią, ponieważ była to kuchnia w czasach, gdy gotowało się tylko w kominku, a teraz jest to po prostu główne wnętrze - stoi drewniana ława. Przypomina kościelną ławę, ale jej dolna część to skrzynia na zawiasach, którą można otworzyć i wtedy powstaje coś w rodzaju łóżka. Kiedy ją otworzyłam, z zaskoczeniem odkryłam wąski, poplamiony stary materac w biało-niebieskie pasy - widocznie ostatnio używano jej do spania.

Podobno w tych ławo-łóżkach ukrywali się kiedyś ludzie. Nora opowiadała mi z wielkim przejęciem, że czarno-brunatni nie wiedzieli, że się je otwiera, choć to się wydaje raczej oczywiste, kiedy więc przetrząsali jakiś chłopski dom, czy mogli się domyślić, widząc jakąś staruszkę siedzącą na ławie i obierającą kartofle, że pod nią ukrywa się jeden albo i dwóch zbiegów?

Niewykluczone, że Denis sypiał na tej ławie pod koniec życia - być może wolał ciepło kominka i nie miał ochoty wdrapywać się po stromych schodach. Odkąd zamieszkałam w tej chacie, stopniowo nabieram przekonania, że Denis O'Driscoll musiał być człowiekiem nie tylko pedantycznym, ale i dobrego, łagodnego charakteru, choć być może przesadnie go idealizuję. Na pewno też wiódł ciężki, samotniczy żywot. Stary czarny rower stoi tam, gdzie Denis go zostawił, oparty o ścianę w szopie z drewnem i torfem na opał. Kosz umocowany do kierownicy jest zupełnie niesamowity, sklecony z resztek innego starego kosza, plastikowych toreb po nawozach, szpagatu i rybackich sieci.

Gdzie tylko spojrzę, dostrzegam przejawy najprawdziwszej, choć bezużytecznej zapobiegliwości: począwszy od kolekcji kawałków szpagatu zebranych z pól i żywopłotów, która wisi na haku w jednej z rozpadających się komórek, a skończywszy na szufladzie pełnej zakrętek od butelek Powera, Paddy'ego i Jamesona.

Widać też pomysłowość, na przykład w tym gwoździu sprytnie owiniętym szpagatem, by mógł posłużyć za zamknięcie w drzwiach szopy. Wysłużona drabina, wisząca w jednej z szop, ma szczeble wykonane ze starych skrzynek po mydle - jeśli przyjrzeć się dokładnie, można odcyfrować dawny znak firmowy nieprodukowanego już „Fairy”. Jest coś niezwykle pięknego w tym mondrianowskim układzie desek wyłowionych z morza, które albo Denis, albo jego bracia ułożyli na ziemi niczym bruk,

aby przed kuchennymi drzwiami nie pieniały się chwasty. Pete byłby zachwycony tym miejscem. Stale o nim myślę i bezustannie, w najbardziej nieoczekiwanych momentach, ogarnia mnie wrażenie, że jestem tu w jego zastępstwie, jakby on mógł oglądać ten zakątek moimi oczami.

Opiewanie w holenderskim malarstwie rodzajowym domowych przymiotów to hołd składany takiej wrażliwości. Tu natomiast wszędzie, wśród tych grani, urwisk i stromych ścieżek, jest irlandzka dzikość, chaotyczna być może dzikość, przed którą bracia O'Driscollowie usiłowali się bronić swym pedantycznym porządkiem. Płaskie holenderskie poldery, pola tulipanów maszerujących żołnierskimi szeregami aż po horyzont, ład i symetria - o tak, te proste linie miały swój udział w holenderskim sposobie widzenia, w holenderskiej technice opisywania.

Gdybyż to jeszcze było możliwe, z chęcią poznałabym tych braci - chłopaków O'Driscollów, bo tak ich zapamiętano we wsi, mimo że wszyscy dożywali blisko osiemdziesiątki i ponoć nosili długie, siwe brody Kieran O'Mahoney powiedział mi, że znał ich od najwcześniejszego dzieciństwa, ale widywał ich nadzwyczaj rzadko. Robili wszystko na starą modłę, stwierdził z szacunkiem w głosie, na każdym kroku wystrzegali się nowoczesnych wygod i codziennie, przez całe życie, ubierali się w tradycyjne marynarki, krawaty i czapki. Domyślam się, że byli moimi kuzynami dalszego stopnia. Jak się nad tym zastanowić, jest to bardzo bliskie pokrewieństwo.

Chłopaki nie pokonywali tych dwóch mil, które ja przemierzam niemal codziennie, by dotrzeć do wsi. Przez ostatnie trzydzieści lat nie zrobili tego ani razu. Tylko Denis od czasu do czasu opuszczał granice ich pastwisk, wędrując aż do obecnie już nieczynnej mleczarni, by porobić tam zapasy. Byli „nieśmiali”, a to tyle, co nazwać ich pustelnikami, jednak nikt nie uważał ich za dziwaków, albo może różnica polega na tym, że byli nie tylko tolerowani, lecz wręcz szanowani. Tacy jak oni - a z pewnością jeszcze kilku by się znalazło, rozproszonych po całej okolicy - wymierają i już nigdy ich nikt nie zastąpi.

Nie minie wiele czasu i chata taka jak ta, przycupnięta na skraju nieopisanie pięknej zatoczki, znajdzie się w posiadaniu bogatego Amerykanina, Niemca albo, w najlepszym razie, dublińskiego japiszona. Kiedy wydałam spadek po Kellych na studia, nie sądziłam, że jeszcze kiedyś będę mieć w banku jakąś poważną sumę. Te pieniądze dają mi wolność, ale nienawidzę ich za to, co reprezentują, i dlatego korzystam z nich rzadko, toteż one leżą sobie i pomnażają się. Sporo rozdaję, anonimowo, zwykle organizacjom dobroczynnym, które pomagają dzieciom. Cztery razy do roku spędzam godzinę z prawnikiem, aby postanowić, jak je przeznaczyć. Ale kto wie, może któregoś dnia wypłacę część tych krwawych pieniędzy i kupię sobie taką chatę. Czy chciałabym dożyć swoich dni w takim miejscu? Dlaczego nie?

Jest jeszcze ten wychudzony kocur o pomarańczowej sierści, z łbem wielkim jak kapusta, który piorunuje mnie wzrokiem spod żywoplotu z fuksji rosnących tuż obok drzwi. Wabi się Tiggy, wiem od Nory O'Driscoll, żony farmera z gospodarstwa położonego dalej przy drodze, która przechowuje klucz

do chaty. Większość posiadanych przeze mnie informacji pochodzi od niej - u niej właśnie zaopatruję się w mleko, jaja i ziemniaki i przy każdym spotkaniu z nadzwyczajną łatwością nawiązujemy parominutową rozmowę. Odrobina zachęty z mojej strony i Nora dostarcza mi mnóstwa faktów z historii okolicy. Podejrzewam, że mówienie do mnie ma znacznie wyższą wartość niż gadanie do siebie.

Nora jest monstrialnie wielka, ale sprawia wrażenie, jakby pod licznymi warstwami uwalanego chłopskiego ubrania miała same mięśnie. Haruje jak mężczyzna. Nie wydaje mi się, by mąż i synowie pomagali jej wiele przy krowach. Nigdy ich nie ma, bo robią coś na oddalonych polach, no chyba że rozrzucają wyjątkowo cuchnący obornik. Zdaje się, że robią to wyłącznie na tych gruntach, od których wieje w moją stronę.

Męża Nory, Pata, widuję tylko z daleka, jak jedzie traktorem. To gburowaty rolnik, ciężko pracuje i niewiele w nim radości życia - tak przynajmniej twierdzi listonosz Willy. Synowie O'Driscollów są dla mnie nierozróżnialni: masywnie zbudowani młodzi wieśniacy w wieku od szesnastu do dwudziestu dwóch lat, z czerwonymi twarzami wyzierającymi spod nasuniętych na oczy czapek; wołają na nich: Liam, Vincent, Joseph i Connie.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu, może dla porządku, może powodowana dumą, Nora już przy naszym pierwszym spotkaniu uparła się wyjaśnić, że nie była spokrewniona z Denisem. Wygłosiła zawiły, niemal obłąkańczy wykład na temat „O'Driscollów z góry”, „O'Driscollów z dołu” i „O'Driscollów środkowych” oraz tego, jak ich rozróżnić. (W gruncie rzeczy wszyscy są spokrewnieni. Bez wątpienia Nora też jest jakąś moją kuzynką.) Zidentyfikowała kapustogłowe stworzenie jako kota Denisa, gdy wpuściła mnie rankiem w dniu mojego przyjazdu.

- Wynocha, Tiggy. Zabieraj się z tej grobli! - zarządziła z okna nad zlewem, kiedy pokazywała mi, jak się zapala stary piecyk gazowy (nazywa go kuchenką); kot właśnie przycupnął na szczycie muru, jakby chciał wskoczyć do środka przez kuchenne drzwi. (W pierwszych dniach moje zagubienie dodatkowo się pogłębiło, gdy usłyszałam, że miejscowi nazywają płot „groblą”, a groble „kanałem”.) Tiggy, biedne, lojalne stworzenie, zdziczał, bo przez dwa lata wołał się czaić przy chacie, niż poszukać nowego domu. Denis zmarł dość niespodzianie, dowiedziałam się dzisiaj od Annie Dunne, która moim zdaniem chciała w ten sposób napędzić mi strachu.

- Ty to masz tam ale wysoko u Denisa, dziewczyno. No bo wiesz, jego znaleźli w morzu - powiedziała niecałe dwie godziny temu, niezbyt czytelnie przekrzywiając głowę w stronę zatoczki. - Niektórzy mówią, że sam się rzucił do wody, ale oficjalnie to było utonięcie. Może atak serca, może spadł, tak czy siak utonął na pewno. Jeszcze żył, kiedy wleciał do wody, to tylko potrafili powiedzieć, no więc zginął przez utonięcie i tyle.

Zanim mnie uraczyła tymi obrzydliwościami, odczekała, aż zapłaci i wyjdzie jedyna poza mną klientka, staruszka ze wsi w zapleśniałym czarnym płaszczu, która zawsze mi się kłania i mamrocze: „Psia pogoda!”

Nie chciałam dać Annie satysfakcji, więc milczałam, myśląc sobie, że jednak się co do niej nie pomyliłam, że ona naprawdę jest wredna. To będzie z całą pewnością moja ostatnia wizyta w jej sklepie. (A zresztą czy to jest takie trudne, upiec placki samemu? Muszę tylko poprosić Norę o przepis.) Podliczyła, ile jestem winna, a kiedy wytracona z równowagi tymi rewelacjami (Mickey mi o tym nie wspominał) zapłaciłam i byłam już w połowie drogi do drzwi, Annie mruknęła pod nosem:

- Powiadają, że ktoś go zrzucił z tego klifu na górze. Albo zepchnął.

- Czemu ktoś miałby mordować starca? - odparowałam. Nie chciałam dawać się w to wciągać, ale byłam zaskoczona i jakby zezłoszczona, w zaczepnym nastroju. Poczułam się też trochę oszukana; Mickey trzymał mnie w niewiedzy i to nie pierwszy raz. Stałam w otwartych drzwiach i czekałam na odpowiedź, wiedząc, że chłodny przeciąg ją rozeźli. Tutejsi ludzie panicznie boją się przeciągów.

- Należał do starej IRA, wiadomo - syknęła Annie. Na jej brodzie rośnie kilka bardzo długich włosów, które czasami połyskują w słońcu. - Niektórzy mówią, że wiedział o zasadzce. Że niby brał udział.

Mimo że serce zabiło mi gwałtownie, wrzuciłam ramionami, jakby nic to dla mnie nie znaczyło, i wyszłam na wiatr, ze wszystkich sił starając się ukryć, że jestem wstrząśnięta. Kiedy ktoś z West Cork mówi o „zasadzce”, to może mieć na myśli tylko jedno: Beal-na-mBlath, zaledwie kilka mil stąd, gdzie w 1922 roku Michael Collins został zamordowany przez swych własnych ludzi, którzy uznali go za zdrajcę, bo rok wcześniej podpisał traktat pozostawiający sześć północnych hrabstw pod panowaniem brytyjskim.

Czy Annie Dunne jest wariatką? Czy raczej, mimo upływu tylu lat, wciąż dokonuje się zemsta, wciąż trwają wewnętrzne walki na tle traktatu, co mogłoby doprowadzić do śmierci starca, który należał do pierwotnej IRA? Zapewne nigdy się nie dowiem, czy Denis O'Driscoll był zamieszany w zamordowanie Michaela Collinsa - jest to możliwe, ale w owych czasach był przecież dzieckiem, małym chłopcem - o ile rzeczywiście miał coś wspólnego z IRA, chociaż to by mnie nie zdziwiło. Szkoda, że nie mogę porozmawiać o tym z Pete'em. Na pewno wpadłyby mu do głowy jakieś cenne detektywistyczne pomysły i z pewnością byłby zaintrygowany. Mickey pewnie to wie, ale nie powie mi, jeśli go spytam - tego już się zdażyłam nauczyć. Z całą pewnością wiem tylko jedno - że właśnie o takich sprawach rozmawiają ludzie w wiosce Ballyroe w powszedni, styczniowy poranek.

Tiggy utrzymuje się przy życiu dzięki datkom z przydrożnych gospodarstw - domyślałam się, że głównie wspomaga go stara Mary Carew, która mieszka dalej przy drodze - czasem udaje mu się też upolować mysz, szczura czy młodego królika. Królików jest tutaj w bród. Tamtego pierwszego ranka, już prawie trzy tygodnie temu, wyszłam za próg kuchennych drzwi, żeby do niego zagadać, ale wtedy umknął jak strzała pod żywopłot. Nora, która pomogła mi się rozgościć, spieszyła się z powrotem do domu, zanim jej mąż i synowie wrócą z pola („czas wstawić obiad”), i poprosiła, żebym wróciła do chaty i wyprowadziła ją frontowym wyjściem, bo nie chce wychodzić kuchennymi drzwiami. Najwy-

rażniej była zdumiona, że nie wiem, jakiego to pecha sprowadza, jeśli się wychodzi z domu innymi drzwiami, niż się weszło. Dziś rano znowu była zaszokowana, chyba moją zatwardziałością, kiedy zauważyła, jak na skraju jej pola zbieram z ziemi wierzbowe witki na rozpalkę.

- Palenie wierzby, żeby się ogrzać, zawsze przynosi nieszczęście - upomniała mnie z rozdrażnieniem. - Tyle chyba wiedzą w Ameryce?

Nie jeden bratanek albo siostrzeniec Denisa miał zwyczaj pożyczać od niego pieniądze, twierdzi Willy Hayes, listonosz, który co parę dni przynosi mi list od Pete'a. Willy jest młody, bystry i zawsze znajdzie czas na pogaduszki, wsuwając głowę do przedsionka, by ją chronić przed deszczem, i zostawiając na luzie silnik małej, zielonej pocztowej furgonetki. Może ze mną flirtuje, naprawdę nie wiem. Kiedy pewnego dnia zapytałam, w jaki sposób radzi sobie z dostarczaniem poczty we wsi, w której ulice nie mają nazw, gdzie mieszkają prawie sami O'Mahoneyowie, Hayesowie i O'Driscollowie, zanosił się tylko tutejszym wysokim, śpiewnym śmiechem, jakbym powiedziała coś nadzwyczaj zabawnego, chociaż ja spytałam go poważnie - naprawdę, chciałabym się dowiedzieć, jak on to robi.

Wczoraj, podając mi list od Pete'a, Willy powiedział:

- Proszę, pani prawdziwe życie się przypomina. Na co ja, niespodzianie dla samej siebie, odparłam:

- Nie, to jest moje prawdziwe życie. Moje prawdziwe życie jest tutaj. Teraz.

Willy przyniósł też osobną paczkę z pocztą skierowaną tu przez Pete'a - prawie same rachunki. Aż nie chce mi się wierzyć, że mój operator telefoniczny, energetyka i cała reszta wciąż naliczają swoje, jak gdyby nigdy nic. Jakby moje życie wciąż toczyło się tam, w kraju, beze mnie.

Nie tęsknię za swoją pracą. A myślałam, że tak będzie. Kocham to, co robię, i jestem w tym bardzo dobra. Jestem bibliotekarzem specjalizującym się w kwerendach naukowych, a to oznacza, że nigdy nie wiem, jakim stuleciem będę się zajmować w danym tygodniu. W zasadzie pomagam naukowcom w ich pracy. W tamte szalone dni, kiedy razem z Mickeyem sporządzaliśmy plan, w bibliotece zajmowałam się szukaniem źródeł do tematu ubiorów noszonych przez postacie Fragonarda, asystowałam pewnemu profesorowi, który wybierał się do Wenecji, przy gromadzeniu materiałów do wykładu o Bellinim i pomagałam jednej pani architekt w szukaniu informacji, których potrzebowała do odtworzenia pokoju pierwotnie zaprojektowanego dla markizy de Pompadour. Dr Calabresi, dyrektor biblioteki, który mnie zatrudnił, stwierdził kiedyś, że idealnie nadaję się do tej pracy, ponieważ wiem „to i owo o wszystkim i wszystko o tym i owym”.

Ciesząc się z odwiedzin Willy'ego, który zajrzał dziś po południu, a jednak powstrzymując się od bardziej ważnych pytań, które chciałabym mu zadać i wciąż gotując się wewnętrznie pod wpływem rozmowy z Annie Dunne, spytałam, czy Dunne'owie to tutejsza rodzina.

- Oni są z Enniskeane - odparł, energicznie potrząsając głową dla podkreślenia, że Dunne'owie ani trochę nie są tutejsi (Enniskeane leży około dwunastu mil stąd), a potem, zaśmiawszy się konspi-

racyjnie, dodał: - Dostało się pani, co? I jak było, na chama czy na inteligenta? Tak czy siak, została pani odfajkowana. My tak na to właśnie mówimy. Została pani odfajkowana i po krzyku. Niech pani nie zwraca uwagi na Annie Dunne; ta to ma naprawdę nierówno pod sufitem.

Owe tak zwane pożyczki dla ubogich krewnych (modłę się 7, całej duszy, by Mickey nie miał nic wspólnego z tym procederem) doprowadziły do tego, że Denis pod koniec życia musiał sprzedać prawie wszystkie grunty, żeby zasilić emeryturę i w ogóle związać koniec z końcem. Chata stoi teraz na żalonym romboidalnym spłachetku ziemi, na skromnym akrze zaduszonym przez chwasty, głównie przez wyjątkowo wredne pokrzywy (ponoć niezłe na zupe, ale potrzebowałabym gumowych rękawic, żeby ich nazrywać), otoczonym zadbanymi polami uprawnymi należącymi do okolicznych farmerów, którzy skupowali je od Denisa, jedno po drugim.

Przez pierwszy tydzień czułam się tu samotna i miałam niewiele do roboty. Tęskniłam za Pete'em. Cała ta irlandzkość, cała ta Irlandia! On wprawdzie wie, że tu jestem, ale myśli, że to tylko romantyczny epizod z Mickeyem, być może z pewną dozą ciekawości spod znaku *Korzeni* (a może lepiej „bulw“?). Boli mnie, że nie mogę omówić z nim planu. Tak mi trudno okłamywać Pete'a, że ledwo mu napomknęłam o moich zamiarach i o miejscu pobytu. Taki stan rzeczy to w naszym wypadku rzadkość; aż się boję, że on sobie pomyśli, że jestem na niego zła z jakiegoś powodu, ale nie wiem, jak inaczej miałabym to załatwić.

Pete porządkuje moją pocztę, która jest do niego odsyłana, i napisał do mnie parę razy, ale teraz jesteśmy wobec siebie dziwacznie uprzejmi i pełni rezerwy. Przypuszczam, że on nie chce naruszać mojej prywatności z Mickeyem. I wiem, że po tych trzech latach cieszy się z mojego powodu. Śmierć Katie była dla niego strasznym ciosem. Nigdy nie wspomina o Katie. Och, my, Dolanowie, potrafimy się smucić...

Tak więc tamtego pierwszego tygodnia nie było mnie na nic stać, tylko jakoś się urządziłam, napisałam wyważony list do Pete'a, odnalazłam się tutaj, może nawet trochę odnalazłam siebie. Całymi godzinami po prostu nie wychodziłam z domu, czytając książki, które ze sobą przywiozłam - opowiadania Williama Trevora, które mogłyby się rozgrywać właśnie w tej wiosce, moją ulubioną powieść Iris Murdoch, *Odcięta głowa*, oraz eseje Waltera Benjamina, które zdają się traktować o tym wszystkim, co właśnie teraz zaprzęta moje myśli.

W Dziele sztuki w dobie reprodukcji technicznej Benjamin pisze:

Nawet przy najdoskonalszej reprodukcji nie ma mowy o jedynym, неповtarzalnym związku dzieła sztuki z miejscem i czasem jego istnienia. A nie gdzie indziej jak właśnie w tym неповtarzalnym przywiązaniu jego egzystencji do konkretnego miejsca i czasu dokonała się historia, jaką ono przeszło w trakcie swego istnienia.

24 STYCZNIA, POCHMURNO, MŻAWKA, MGŁA

Czekam, sama w tej chałupie, i tak się czuję, jakbym dochodziła do siebie, jakbym każdego dnia budziła się trochę bardziej. W jasności moich myśli jest niemal coś z halucynacji. Może to przez ten krajobraz. Może przez rozmyślania o Mickeyu, o nas, choć nie rozmawialiśmy o przyszłości, o życiu, kiedy to się skończy. Strasznie dużo przyjął na wiarę.

Nigdy nie byłem bardziej samotna z własnymi myślami niż w tym okresie między szóstym stycznia, czyli dniem mojego przyjazdu tutaj - to było święto Trzech Króli - a szesnastym, czyli dniem przyjazdu obrazu. Stałam się wrażliwa na każdy dźwięk. Widocznie w Nowym Jorku odgradzam się od wszystkiego jakimś filtrem. W chacie słychać czasami ryk wiatru hulającego w kominie. A kiedy indziej bywa tak cicho, że gdy przechadzam się wzdłuż żywopłotów, słyszę, jak na polu krowy Nory żują trawę.

Nie zawsze, nie co dzień byłem w nastroju, by coś zapisywać w tej księdze rachunkowej. A poza tym muszę ją ukrywać, bo choć wprawdzie nie dostałam szczegółowych instrukcji w tym względzie, coś mi mówi, że jakiegokolwiek zapiski absolutnie nie wchodzi w rachubę. Zresztą czułabym się głupio, prosząc o pozwolenie na prowadzenie dziennika. (Już kiedy byłem mała, Pete zachęcał mnie, abym podejmowała decyzje samodzielnie. Namawiał, żebym starała się rozważyć prośbę z jego punktu widzenia, zamiast pytać, czy pozwoli mi popływać bez opieki w Maine albo wdrapać się na dach naszego garażu. Miałam raczej rezygnować z czegoś, jeśli wiedziałam, że on by się na to nie zgodził.)

Podczas tamtego pierwszego samotnego, niepewnego tygodnia odkryłam sekretną kryjówkę Denisa, pod schodami. Nie pytajcie, czego tam szukałam, wśród brudu i pajaków. Zaczepiłam rękawem o wystający gwóźdź i wtedy obluzowała się deska zawieszona na prymitywnym skorodowanym zawiasie, ukazując bardzo małą, płytką szafkę wbudowaną w ścianę, całą obrośniętą tłustymi od sadzy pajęczynami. Był tam wielki, staromodny klucz do jakiegoś dawno zapomnianego zamka oraz zardzewiała puszka na tytoń, a w niej z pięćdziesiąt rozpadających się jednofuntowych banknotów. Zostawiłam puszkę tam, gdzie ją znalazłam.

Nie sądzę, by jednofuntowe banknoty były jeszcze w użyciu, są przecież te duże monety z jelem po jednej stronie i harfą po drugiej, a zatem puszkę od dawna nikt nie ruszał. Może Denis nic o niej nie wiedział - przyszło mi do głowy, że ten sejf mógł należeć nie do niego, ale do któregoś z jego braci. Albo nawet do kogoś z jeszcze dawniejszych czasów. Te jednofuntowe banknoty wydają mi się duże, większe niż banknoty w moim portfelu, więc mogą być naprawdę stare.

Tak czy owak cieszę się, że w ostatnich czasach nikt nie odkrył istnienia tego zakamarka pod schodami. Żeby zamaskować miejsce, gdzie trzymam swój dziennik, zaczęłam składować przy nim drewno i bryły torfu na opał, więc moje chodzenie tam i z powrotem, gdybym przypadkiem była obserwowana, nie powinno wzbudzać podejrzeń.

Kiedy teraz przeglądam te kartki, widzę, że mocno zboczyłam z tematu. To nie jest historia sztuki, to autobiografia. A zresztą czego mają dotyczyć te zapiski? Lekcji z *Lekcji muzyki*. Sam, mój były mąż, zawsze mi zarzucał, że w ogóle nie potrafię trzymać się tematu, i się nie mylił.

„Po prostu przejdź do szczegółów” - mówił z błyskiem zniecierpliwienia w oczach. Podchwycił to zdanie z błyskotliwej riposty naszej pięcioletniej córki, Katie, która oczywiście miała na myśli coś zupełnie przeciwnego.

Wiedziałam, że dojdę do tego wcześniej czy później. Życie nie jest sprawiedliwe. Gdyby było sprawiedliwe, Katie żyłaby, a ja i Sam wciąż bylibyśmy razem. Powiadają, że bardzo niewiele małżeństw jest zdolnych przetrwać śmierć dziecka. To prawda. Dodałabym, że bardzo niewielu ludzi potrafi to przetrwać w pojedynkę. Aż do teraz wydawało mi się, że ja nie przetrwałam.

Szkolny autobus. Deszcz. Kierowca, który patrzył, ale nie widział.

Bardzo niewielka pociecha: w Connecticut obowiązuje teraz nowa ustawa, tak zwana Ustawa Katie; zgodnie z nią szkolne autobusy muszą być od przodu wyposażone w urządzenia zabezpieczające, dzięki którym znacznie łatwiej zapobiegać tego typu wypadkom. Kiedy autobus się zatrzymuje, żeby wypuścić lub zabrać pasażerów, nie tylko z boku opuszcza się znak STOP, wstrzymujący ruch, ale w dodatku z przodu autobusu rozsuwa się żółta barierka, dzięki której nikt nie może podejść zbyt blisko pod przednią szybę, gdzie nie sięga wzrok kierowcy.

Nie potrafię opisać tej barierki, nie czując bólu, bo za każdym razem, kiedy zdarzało mi się widzieć ją w działaniu, miałam wrażenie, że patrzę na animowany schemat pokazujący, co się stało tamtego popołudnia, w trzecim tygodniu przedszkola. Autobus przystaje. Błyskają światła. Ramię barierki opuszcza się powoli, jak strzałka - „Szła właśnie tędy”, mówi, zatrzymując się na dłuższą chwilę, by pokazać miejsce tragicznego zderzenia, po czym unosi się z powrotem i niczym owadzie skrzydło składa przy przedniej ścianie autokaru.

Nie mieszkam już w Connecticut. Nie chciałam, żeby ustawę nazwano jej imieniem, ale Sam namówił mnie, bym się zgodziła. Już nawet nie prowadzę, chociaż to akurat, jakim byłam kierowcą, nie miało nic wspólnego z wypadkiem. Byłam zresztą dobra za kierownicą, jednak po tym zdarzeniu straciłam pewność siebie. Zaczęłam się bać, że uderzę w coś lub kogoś i nawet tego nie zauważę. Moje prawo jazdy wygasło w ubiegłym roku i nic z tym nie zrobiłam.

Tak więc nie mam tu samochodu, co jest kłopotliwe, ale na razie jakoś sobie radzę. Najgorsza była jazda autobusem z lotniska w Cork do Clonakilty, potem autobusem z Clonakilty do Ballyroe, a na końcu męczący marsz z torbą pod górę, do chaty. Jakiś rolnik podrzucił mnie traktorem przy ostatniej mili, chociaż go o to nie prosiłam. Był to Billy Houlihan. (Willy powiedział mi, że jego matka była z Hayesów. Billy jest jego kuzynem. No oczywiście.) Kiedy tylko Billy dostrzeża mnie na drodze, saltuje mi dziarsko dwoma palcami. Zawsze czuję, że coś nas łączy, bo był pierwszym mieszkańcem Ballyroe, jakiego poznałam.

- A pani to sama czy jak? - spytał tamtego wietrznego popołudnia, w rozwodnionym blasku słońca, taksując mnie bezceremonialnie.

W okolicy aż się roi od samotnych kawalerów. Billy może mieć trzydzieści lat, ale może też mieć i pięćdziesiąt.

- Rozwódka - odparłam, chociaż teraz, jak się nad tym zastanawiam, dociera do mnie, że chciał tylko spytać, czy jestem sama w dosłownym sensie. Wciąż nie wiem, czy to, że jestem rozwódką, odstęcza (bo to grzech), czy zachęca (taka to musi być doświadczona).

- Aha - odparł Billy, czerwieniąc się.

Większość ludzi, których poznałam po śmierci Katie - mam mnóstwo znajomych, ale nie nawiązałam żadnych bliskich przyjaźni - wie, że byłam kiedyś mężatką, ale nie ma pojęcia, że miałam i straciłam dziecko. To rzadko pada w rozmowie. I rzadko też pojawia się w moich myślach. Nie, nie tak. Kłamstwo. Nauczyłam się to zagłuszać, bo to się na trwałe osadziło w moich myślach, niczym dzwonięcie w uszach. Przez te trzy ostatnie lata doświadczałam takiego bólu, że nauczyłam się nie mieć uczuć. Albo przynajmniej tak myślałam, aż do teraz.

Nie mogłam zostać w tamtym domu, w tamtym życiu, w tamtym stanie. To nie była wina Sama. Śmierć Katie zabiła coś między nami. Być może jednak nasze małżeństwo wcale nie było takie wspańiałe, choć spędziliśmy razem dziewięć miłych lat. Z pewnością to zabiło coś we mnie. W Nowym Jorku nie obowiązuje Ustawa Katie. W szkolnych autobusach jeżdżących po Manhattanie nie zamontowano barierek, ruchomego schematu pokazującego, w jaki sposób może umrzeć dziecko. Zresztą wolę nie patrzeć na szkolne autobusy, obojętnie gdzie i niezależnie od okoliczności, jeśli mogę tego uniknąć.

Jest jeszcze coś, czego za nic nie chcę więcej oglądać: to obraz Metsu *Chore dziecko*. Zanim zostałam matką, ten temat nie miał dla mnie żadnego specjalnego znaczenia - mogłam studiować, w jaki sposób go namalowano, światło padające na bladą skórę chorego dziecka i nie czułam nic szczególnego. A potem Katie, w wieku trzech lat, złapała jakiegoś okropnego wirusa; podczas jednej koszmarnej nocy, którą wypełniły zimne kąpiele i strach przed drgawkami, temperatura podskoczyła jej do czterdziestu jeden stopni, a ja przez całą tę noc wracałam myślami do owego obrazu, bo zdawał się tak wiernie odzwierciedlać doświadczenie, jakim jest tulenie chorego dziecka. Natomiast od śmierci Katie uważam, że to płótno jest poświęcone śmierci. Teraz to takie oczywiste, takie nieuniknione, że to dziecko umrze. Jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć?

Strasznie dużo było tych pieniędzy. Pieniądzy z polisy ubezpieczeniowej. I niby jaki jest sens takiej polisy? Ma ubezpieczać tych ze złamanym sercem, żeby mogli napchać sobie kieszenie? Miasto New Haven nie jest w stanie mi niczego wynagrodzić. Nie mogą „pokryć” tej „odpowiedzialności” dolarami. Pieniądzy mnie nie „ochroniły przed stratą”, tak samo jak posłanie dziecka do przedszkola

nie wiązało się z „przyjęciem dopuszczalnego ryzyka”. Chciałam, żeby Sam zatrzymał wszystko, ale on mnie przekonywał, żebyśmy się podzielili, i w końcu tak zrobiliśmy.

Pieniądze nie zmieniły mojego stosunku do pracy, nie tak, jak się spodziewałam. Przez jakiś czas bałam się, że jeśli nie będę musiała zarabiać na życie, zacznę się rozpadać. Ale ostatecznie robię to, co chcę robić. Pracuję ciężko, za to nie muszę się przejmować straconymi dochodami, bo wzięłam z Fricka bezpłatny urlop, nie muszę się też martwić o to, jak będę opłacać czynsz podczas swojej nieobecności. Już nigdy nie będę musiała się zadreć z zbyt dużymi rachunkami za telefon, cenami biletów lotniczych albo kwestią kupna jakiejś wyjątkowo atrakcyjnej pary butów.

Swego czasu - niby nie tak dawno, a jednak jakby w innym życiu, gdy się nad tym zastanawiam - myślałam, że będę musiała się zatrudnić w jakiejś prywatnej galerii, aby mieć na wykształcenie Katie. Kiedy jeszcze była malutka, umawiałam się nawet kilka razy, w Nowym Jorku, na lunch z marszandami od starych mistrzów, którzy chcieli ze mną współpracować. To miłe, przyznaję, że stać mnie na robienie czegoś, co ma dla mnie znaczenie, że nie muszę się przejmować nędzną pensją i skromnym pakietem socjalnym.

Byłam osobą numer dwa w bibliotece zbiorów sztuki Uniwersytetu Yale, co potem pomogło mi dostać pracę w Księgozbiornie Wydawnictw Artystycznych Fricka. Nie wymagają tam ode mnie określonych godzin pracy, bo nie muszą mi płacić, kiedy mnie nie ma.

Bliskich przyjaciół mam niewielu, więc z niepokojącą łatwością udało mi się zwinąć cumy. Zostawiłam na sekretarce wiadomość, że wybrałam się w podróż, co nie powinno zdziwić znajomych, którzy przypadkiem mogliby mnie szukać. Kolegom z Fricka powiedziałam, że muszę się zająć pilną sprawą rodzinną i nie wiem, kiedy wrócę - nikt nie był na tyle zaciekawiony, żeby mnie jakoś dokładniej wypytywać, więc nawet nie musiałam się uciekać do zawczasu przygotowanego kłamstwa o chorym krewnym w Londynie. Gdyby nie Pete i charakter mojej pracy, miałabym bardzo niewiele powodów, by wracać.

Sam lepiej sobie poradził z powrotem do życia. Wciąż prowadzi biuro projektów architektonicznych w New Haven, a z tego, co ostatnio słyszałam od wspólnego znajomego z Centrum Sztuki Brytyjskiej Yale, dobrze mu idzie i ma przyjaciółkę na poważnie - rozwódkę z synkiem. Cieszę się, że Sam potrafi dalej ciągnąć nasze życie, gdy ja już nie umiałam. To było dobre życie. Ma świetny kontakt z dziećmi i chciałabym trzymać za niego kciuki, ale to wszystko rozdziera mi serce. Naprawdę.

Nazwaliśmy ją Katie, bo pod koniec szóstego miesiąca ciąży Sam obudził mnie w nocy, żeby opowiedzieć mi sen. Śniło mu się, że nasze dziecko jest dziewczynką i że ja się uparłam, by dać jej na imię Katie Kateksja. (Sam wtedy już szósty rok poddawał się psychoanalizie. Ciekawe, czy już skończył.) Brzmiało to komicznie, ale jakoś tak zostało.

Oczywiście nadaliśmy jej inne drugie imię - Ellen, po ciotce Sama. Katharine Ellen Hodgson. Była cudownym maleństwem. Czasem, kiedy miała kolkę albo ząbkowała, a akurat na Sama wypadła

kolejka, żeby zajmować się nią w nocy, słyszałam, jak jej śpiewa: „Katie Kateksja daleko wśród fal/
Płyn bez strachu, płyn sobie w dal...”

Nie. Nie mogę. Nawet teraz. Muszę przestać.

Później. Łomotanie deszczu. Cóż, według wielkiego znawcy pogody Kierana O'Mahoneya mżawka i mgła miały oznaczać, że nie będzie padało zbyt ulewnie. Ostatnie godziny spędziłam na górze, w małym, pozbawionym okien wewnętrznym pokoiku, gdzie trzeba ją zamykać przed światem. Znowu ją kontemplowałam. Mogę dotrzymywać jej towarzystwa w tej skromnej, pełnej spokoju komnacie, gdzie przez okno leje się gęste popołudniowe światło, wprost na słoje drewnianego blatu, na glazurowaną powierzchnię połyskliwego białego dzbana, na miękkie, wyraziste meszek brzoskwiń na parapecie. To słońce rozgrzewa gładkie, czarno-białe kwadraty kamiennej posadzki. Na kolanach dziewczyny, pod jej palcami, spoczywa lutnia. Jej spojrzenie uspokaja, hipnotyzuje - przy niej czuję się bezpieczna. Ona nawiązuje więź z czymś, co mam w sobie. Ten uśmiech, który nie do końca jest uśmiechem. Ta przenikliwość, ta mądrość - oto hojne dary sprzed wieków. Nie ma nic bardziej prawdziwego, ani ten widok z okna na małe wysepki o ostro zaznaczonej linii brzegowej, które oderwały się od tego piekielnego wybrzeża, ani moje własne dłonie, trzymające pióro, które biegnie po kartce. Upajam się jej obecnością. Jak ten Vermeer ją wymyślił?

Na pewno istniała naprawdę; muszę wierzyć, że trzysta trzydzieści lat temu naprawdę żyła taka kobieta, obdarzona podobną wrażliwością. I ona wciąż żyje, unieśmiertelniona przez największego artystę wszech czasów. Trudno mi natomiast zrozumieć, jak to możliwe, że jako dyplomowany historyk sztuki (studia w Smith, a potem w Mt Holyoke - w pracy dyplomowej omawiałam związki między kubizmem a martwymi naturami trzech holenderskich malarzy z XVII stulecia), nie chcę przyjąć do wiadomości, że namalowany wizerunek wywołuje we mnie takie reakcje.

Nie umiem sobie poradzić z uczuciem, że ten obraz to tylko przedstawienie czegoś istniejącego w rzeczywistości. Intelktualnie mogę uznać, że to iluzja - że tylko obcuje z geniuszem Vermeera - ale jednocześnie jestem przekonana, że ona żyła kiedyś i żyje teraz, ożywiona i utrzymywana przy życiu na pomalowanej desce.

Która - to niewiarygodne - jest ze mną w tym pokoju, sam na sam, w tej chacie na skraju zatoczki Gortbreac, w Ballyroe, w hrabstwie Cork, w Republice Irlandii, na zachodnim krańcu Europy, w świecie, we wszechświecie i tak dalej, jak ująłby to Stefan Dedalus. *Co było po wszechświecie? Nic.*

25 STYCZNIA, SŁONECZNIE I BEZCHMURNIE

Jak oceniłabym samą siebie? Czy raczej, co bym pomyślała, gdyby ktoś mi opowiedział o kobiecie, która robi to, co ja teraz?

Ta kobieta igra z ogniem, tyle przynajmniej bym powiedziała jako ktoś postronny.

Oto, co obsesja robi z człowiekiem. Trwam w uścisku najczystszeo, synergetycznego szaleństwa. Trwam we mgle pożądania seksualnego i jestem też najprawdziwszym owocem dolanowskiego drzewa w swej nienawiści do Brytyjczyków w Irlandii i w swym przekonaniu, że oto uczestniczę w akcji, która pomoże nam się przybliżyć do jakiegoś rozwiązania problemu. Wielu ludzi stwierdziłoby, że jestem niespełna rozumu. Bez wątpienia mieliby rację. Co za ulga, powiadam. Spoglądam wstecz, na trzy odrętwiałe lata złego myślenia. Przede mną nieznaną przyszłość, ale to jest coś bardzo świetlistego i bardzo gorącego, zupełnie jak słońce. Tak więc wybaczcie, że nie zwracam uwagi na niebezpieczeństwo. Pomykam teraz tuż nad ziemią, coraz szybciej, nieważka, wznoszę się, ledwo muskam szczyty drzew. Szybuję coraz wyżej. Coraz wyżej.

27 STYCZNIA, ZAWIERUCHA, MOKRO, ZIMNO, CIEMNO, W TEJ CHWILI OKROPNIE

Pogoda jest ostatnio bardzo niełaskawa, z niewielkimi przejaśnieniami, jak mówią w BBC na długich falach. Niebo zawsze w ruchu zawsze mnie porusza. I ta zmienna pogoda bez wytchnienia kreśli tęcze. U nas tęcza jest kiczowata niemal z definicji. Anemiczna, podkolorowana smużka, nie to co irlandzka tęcza. Tutejsze tęcze to pełne stuosiemdziesięciostopniowe spektrum spektakularnego dramatyizmu, za którym kryje się bóg względnie Irlandzka Rada Turystyki. Tutaj wydaje się, że garniec ze złotem, zgodnie z baśnią zakopany po drugiej stronie tęczy, musi się znajdować przy Red Strand, tuż za Galley Head.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam tęczę, obudziwszy się drugiego ranka w tej chacie, miałam natychmiastowy odruch, by zrobić zdjęcie, by pożałować, że nie zabrałam ze sobą aparatu. Czyli co? Zasadniczy amerykański imperatyw: chwycić i zapisywać doświadczenia za granicą, żeby je zabrać do domu, posiąść i skonsumować? Tu, w tej chacie, pośród tych prostych, najniezbędniejszych rzeczy codziennego użytku, ten odruch wcale mi się nie podoba. Odrzucam go.

Odrzuciwszy go, w chwilach, kiedy doświadczam dramatu zmieniającego się światła lub natrafiam na jakiś niesamowity widok, po prostu patrzę albo się odwracam, w zależności od tego, co mi akurat odpowiada, bo już pozbyłam się pragnienia, by posiąść to wszystko na kliszy - tutaj nie mam takich zapędów. Podróżuję bez zbędnego bagażu.

Fotografia potrafi oddać tylko jakiś fałszywy autentyzm, ostatnie słowo w zakresie doświadczenia i wiedzy. W tym momencie tak to właśnie wyglądało.

Co myślałby Vermeer o fotografii? Od stuleci trwają spory, że mógł do swej twórczości wykorzystywać *camera obscura*. Ja osobiście uważam, że był geniuszem, który umiał dostrzec i zastosować „obiektywizm” *camera obscura*, ale wcale nie chcę przez to powiedzieć, że faktycznie rzucał na płótno obrazy z *camera obscura* i potem je odrysowywał, jak insynuują niektórzy.

Vermeer nie potrzebował *camera obscura*. Dlaczego ludzie nie potrafią tego zrozumieć? Dzięki temu, że widywał wizerunki z *camera obscura*, potrafił postrzegać rzeczy inaczej, a to z kolei pozwoliło mu malować inaczej. Nie mogę znieść tego typowego dla historyków sztuki wnioskowania, tego kołtuńskiego „No tak...”, pod którym kryje się tylko goła informacja, a nie zrozumienie sztuki. Podobnie jak de Kooning, holenderski mistrz naszego stulecia, Vermeer był „nieuchwytnym obserwatorem”.

Ciekawe, czy Vermeer przewidział, że nadejdą takie czasy, gdy wizerunki uwiecznione na fotografii będą uznawane za dzieła sztuki. Niewykluczone, że byłby się zachwycił samą technologią i jej możliwościami. Lubię sobie wyobrażać, że Vermeer uznałby nowe sposoby widzenia, jakie stwarza aparat fotograficzny, ale tylko jako środek wiodący do kolejnych inspiracji, by dalej malować obrazy.

Walter Benjamin napisał: „Technika reprodukcji wrywa reprodukowany obiekt z ciągu tradycji”. Pisał o aurze obiektów, którą nazywał „niepowtarzalnym zjawiskiem pewnej dali, niezależnie od tego, jak blisko by ona była”. Wspominał, że „rzeczy te przybliżyć w aspekcie przestrzennym i ludzkim jest tak samo namiętnym pragnieniem współczesnych mas, jak namiętna jest ich chęć przecięcia niepowtarzalności zjawisk poprzez reprodukcję”.

Patrę na ten obraz i on zapiera mi dech w piersiach. Ona zapiera mi dech w piersiach. Dziś rano zmusiłam się, by spojrzeć jej w oczy, by wytrzymać to spojrzenie, a potem rozplakałam się, owładnięta uczuciem, że to nie ja widzę, tylko że jestem widziana. *Więc tak to jest, gdy cię znają.*

Ciekawe, co sądziłby Vermeer o tym, że tak bardzo cenimy sobie autentyczność fotografii, podobnie jak literatura autobiograficzna jest dziś bardziej popularna niż fikcja, ponieważ utrzymuje, że mówi o rzeczywistych przeżyciach.

Tylko jaka jest „rzeczywista” prawda o czymkolwiek? Kobieta Vermeera ujawnia własną realność swym wdziękiem, siłą, majestatem, urodą - to są cechy ludzkie, bez dwóch zdań, ale Vermeer obdzielił nimi równo komnatę, przedmioty, samo światło. To jest umiłowanie rzeczywistości, wyrażone na cienkiej dębowej desce, wyrażone farbą, dobre trzysta trzydzieści lat temu.

Czym jest malarstwo, jak nie sztuką wyrażania tego, co widzialne, poprzez to, co niewidzialne? Malarstwo jest czymś wymyślonym. Jest wytworem wyłącznie ludzkiego umysłu. Umysł myślał, aby je stworzyć, i umysły muszą myśleć, żeby je pojąć.

Dziś rano dostałam wiadomość od Mickeya. Nabrałam już codziennych przyzwyczajęń, a krótkie godziny słonecznego światła przetapiają dni na ledwie uchwytnie interwały między długimi,

mrocznymi nocami. Wybrałam się na spacer donikąd, w górę wąskiej, zrytej koleinami dróżki, która nad wioską, obok niewielkich, chylących się ku ziemi zagród robi pętlę. Na samym końcu dróżki, w malutkim różowym domku, mieszka moja ulubiona miejscowa osobliwość, Mary Carew, z pochodzenia Szkotka, która spędziła tu większą część życia. Podczas naszych spotkań rozmawiamy dosłownie o wszystkim.

Gdy po raz pierwszy mijałam jej podwórko, nie mogłam się nadziwić rzeszom kręcących się tam kotów - na parapecie, pod żywoplotem, leżały na szczycie murku, siedziały na progu. Mary akurat wyszła z domu, z garnkiem mleka dla nich (a może to ja wzbudziłam jej ciekawość?). Siwe włosy wymykały jej się ze staromodnego koczka na czubku głowy, na ustach miała grubą plamę jaskrawo-różowej szminki, mocno wykraczającą poza obrys warg od góry i od dołu, za to nie sięgającą kącików. Wydała mi się lekko stuknięta. Spytałam, ile ma kotów - na oko był ich co najmniej z tuzin.

- Och, tego pani nie powiem, wstydziłabym się - odparła nieoczekiwanie piskliwym, dziecinnym głosem. Ma prawie osiemdziesiąt lat, od wojny jest wdową. Jej mąż, George Carew, spędzał letnie wakacje w tym domku, który należał do rodziny, bo jego matka była Irlandką, z domu McCarthy, z Tipperary. Pod koniec wojny George został zestrzelony nad terytorium Niemiec. Nie mieli dzieci - kiedy zaczęła się wojna, byli świeżo po ślubie, mieszkali w Londynie. Kiedy wojna się skończyła, Mary zamieszkała w Ballyroe, tam, gdzie George spędzał wakacje w dzieciństwie. Nie ma prawie żadnej rodziny, tylko bratanka George'a, który ożenił się z Irlandką i osiadł na farmie nieopodal Myross Wood, za Union Hall, zaledwie kilka mil stąd.

Od tego pierwszego spotkania codzienne pogawędki weszły nam w zwyczaj. Mary w końcu, w przypływie śmiałości, zdradziła mi, że ma dwadzieścia osiem kotów. Powiedziała, że Tiggy pochodzi z jej gospodarstwa. Wiem, że powinnam trzymać się z daleka od ludzi, aby nie zwracać na siebie uwagi, ale Mary nie jest Irlandką i nigdy nie rozmawiamy o polityce, więc to chyba niegroźna znajomość. W końcu moje odwiedziny u niej mogą rozpraszać podejrzenia ludzi stąd, że na pewno coś kombinuję, skoro jestem takim odludkiem. Ten Mickey to istny paranoik, jeżeli naprawdę myśli, że rozmowy o kotach i książkach ze starą Szkotką, która mieszka na uboczu, mogłyby w jakiś sposób zniweczyć nasze przedsięwzięcie.

Bo ja czuję się trochę samotna. I moje pogaduszki z Mary stanowią przyjemną odmianę od codziennych spotkań z Norą - która najwyraźniej czuje się za mnie odpowiedzialna, a i pewnie jest też dumna, że może się mną opiekować - oraz krótkich wymian zdań z Kieranem O'Mahoneyem w jego sklepie.

Jest zdumiewająco odczytana, wyrwało mi się wczoraj pod koniec chaotycznej rozmowy, którą wiodłyśmy na progu jej kurnika. Jakimś sposobem zeszło na powieść Margaret Kennedy, którą przeczytałam jako dziecko, zresztą tylko dlatego, że przez pomyłkę ustawiono ją obok *Portretów odważnych* Johna F. Kennedy'ego w mojej filii Bostońskiej Biblioteki Publicznej. Mary właśnie skończyła *Upartą*

nimfę Margaret Kennedy. Znalazła tę powieść w małej bibliotece w Clonakilty, do której zagląda przy okazji robienia sprawunków. Na zakupy jeździ starym minimorrisem, chociaż uwielbia też piesze wędrówki.

- Och, Patricia, telewizja jest taka przygnębiająca, gazety też są przygnębiające, no i drogie, tak więc pozostaje niewiele do roboty oprócz czytania, gdy panują zimowe ciemności i mój ogród odpoczywa aż do wiosny - westchnęła Mary.

Poważniejszej skargi nigdy od niej nie słyszałam.

- Jaka to radość, gdy można sobie czasem pogadać - dodała, otulając się przed nagłym podmuchem wilgoci bezkształtnym szarym swetrem. - Ale kto wie, w każdej chwili możesz złapać wiatr w żagle i już cię nie będzie.

Zaprasza mnie na herbatę, ale ja zawsze odmawiam, bo inaczej musiałabym wejść do jej domu, usiąść przy jej kominku, a to mogłoby się okazać niebezpieczne.

W porównaniu z miejscowymi, podczas naszych pogawędek Mary wykazuje się zaskakującą wytrzymałością na aurę. Prawdopodobnie uważają ją tu za dziwaczkę, no i oczywiście za kogoś obcego; na protestanckie nabożeństwa chadza do Union Hall albo do Clonakilty. Ja marznę i moknę niemal codziennie, więc Nora uważa, że mam „nierówno pod sufitem” i zapewne nabawię się zapalenia płuc albo przynajmniej jakiejś odmiany gorączki, która wszystkim tu dopiekła w dziewiętnastym wieku. Domyślam się, że gdyby bycie ogrzany i suchym stanowiło jakiś drogocenny stan, stan trudny do osiągnięcia, to człowiek popadłby w obsesję jego zachowywania i pielęgnowania. Mnie zawsze towarzyszył luksus gorącej wody i pewność, że mam ciepłe i suche ubranie na zmianę. Nie wiem, jak to jest, gdy się dorasta bez tych rzeczy.

Czasami wkładam do kieszeni kurtki marchewki dla trzech kudłatych osiołków, które zawsze, niezależnie od pogody, stoją razem na najwyżej położonym polu. Nie wiem ani do kogo należą, ani do czego służą. Czasami wszystkie trzy ze stoickim spokojem, jak ogłupiałe, stają pyskami do porywistego wiatru plującego bryłkami lodu. Od uderzenia tych bryłek naprawdę potrafi zboleć. Ale co to dla mnie, wspinam się tam i staję obok nich, równie bezmyślna.

Nie wolno mi opuszczać chaty na dłużej niż kilka godzin, ale też nie powinnam siedzieć w domu cały dzień. Mickey bardzo to podkreślał. W otoczeniu tak transcendentnego krajobrazu mogłam się bez trudu zrobić rozkojarzona i utracić czujność, a z kolei ciągle ukrywanie się w domu zwracałoby uwagę i zachęcało do spekulacji, czemu właściwie zjawiłam się tutaj niczym grom z jasnego nieba i wynajęłam chatę O'Driscollów.

Tak więc mało forsowne wędrówki po okolicy stanowią właściwą formę aktywności dla dziwacznej, samotnej kobiety, która zatekniła za jakąś łagodną przygodą. Tę rolę odgrywam znakomicie. Kiedy wyruszam na swój obchód, szczekają na mnie psy, po czym jakaś niewidoczna osoba na podwórku albo w kuchni karci je ostrym tonem, każe psu przestać hałasować, na co ten zaczyna machać

ogonem i towarzyszy mi kawałek drogi; tym sposobem poznaję kolejno imiona niemalże wszystkich psów z tej strony wioski.

O ile psy rzeczywiście zawsze jakoś się wabia - na przykład szkockie owczarki zwykle nazywają się Lassie, psy pasterskie to często Shep albo Pup i jest też Bruce, Joker, Beauty, a także Benson, stary i tłusty, czarny labrador, nazwany tak na cześć czarnoskórego gospodarza pewnego amerykańskiego programu telewizyjnego sprzed lat - o tyle koty rzadko mają imiona.

Koty Mary to wyjątek. Wszystkie noszą imiona z Szekspira, choć bywa, że trudno się w tym wyznać, gdy kociak, który wabi się Hamlet ma Gonerylę za matkę i Otella za ojca. Teraz to już się wszystko przemieszało, ale początkowo, przed wielu laty, wszystkie Liry były pomarańczowe, a Makbety czarno-białe. (Matka Tiggy'ego była śliczną, szarą pręgowaną kotką o imieniu Julia. Mary przypuszcza, że jego ojcem mógł być stary, czarny kocur z jednym uchem, którego nazywa Szajłokiem. Niezbyt jej przypadło do gustu imię *Tiggy*, ale nie zdołała przekonać Denisa, by nazwał kota Falstaffem.)

Z żadnym z pozostałych sąsiadów nie wykroczyłam poza zwyczajowe rozmowy o pogodzie. Czasami przy drodze napotykam jakiegoś kota; przystaję wtedy, żeby sobie z nim porozmawiać, co niekiedy owocuje przyjazną wymianą zdań z jego właścicielką, którą przyciąga nieznanome brzmienie mojego głosu (albo szczekanie psa). Kiedy pytam o imię kota, gospodyni odpowiada zwykle: „Och, on nie ma imienia, do domu nie wchodzi”.

Drogi też nie mają nazw. Przypuszczam, że w tym oszczędnym kraju marnowanie wysiłku na stawianie znaków nie ma sensu, skoro każdy użytkownik drogi wie, gdzie jest i dokąd zmierza. Nie mam pojęcia, czy ludzie między sobą jakoś określają te drogi, choćby nawet nieoficjalnie, czy one mają jakiś swój odpowiednik przezwiska. Bóg jeden wie, w jaki sposób wóz strażacki odnajduje tu płonący dom. Bóg jeden wie, czy tu jest jakikolwiek wóz strażacki.

Na poboczu tej bezimiennej ścieżki stała furgonetka Telecom Eireann i monter majstrował przy czymś na słupie, co tutaj stanowi dość częsty widok. Z liniami telefonicznymi i elektrycznością są tu wieczne problemy, zwłaszcza przez te zimowe wiatry. Wczoraj w południe przez kilka godzin nie było prądu, na co nie zwróciłam nawet uwagi, dopóki nie usłyszałam dalekiego pomruku generatora z farmy Hayesów, po drugiej stronie zatoczki. Nie mam pojęcia, czy były też kłopoty z łącznością, bo jak większość ludzi po tej stronie Ballyroe nie jestem „pod telefonem”.

Dlatego właśnie nic sobie nie pomyślałam na widok furgonetki Telecomu. Powietrze bardzo znieruchomiało, choć raz dla odmiany; był to nadzwyczaj świetlisty poranek, wysoko na niebie bieleły chmury, toteż widziałam tego montera z dużej odległości, kilka pól dalej, a że ta droga biegła zakosami, na przemian to się pojawiał, to ukrywał wśród wzniesień i kotlinek. I potem znowu się ukazywał. Wędrowałam tak może z czterdzieści minut. W zasięgu wzroku nie było nikogo innego, chociaż daleki

warkot traktora zwielokrotniało echo, jakby dziwnie bliskie, bo odbija się od wód zatoczki za tymi polami.

Krajobraz jest tutaj zupełnie otwarty, do cna оголоcony z lasów, które rosły przed setkami lat. Oko akceptuje te kontury, to, że tak właśnie wygląda zachodnie wybrzeże Irlandii, ale ja pamiętam, jak Pete cytował jakiegoś brytyjskiego lorda z osiemnastego wieku: „Irlandczycy nie dadzą się ujarzmić, dopóki na drzewach są liście”.

Oznaczało to tyle, że nie da się zapanować nad rdzenną ludnością Irlandii, dopóki ta będzie miała lasy, w których można się ukrywać; dlatego właśnie elementem strategii udaremniającej Irlandczykom znajdowanie kryjówek, w których mogliby się organizować, było niszczenie lasów. Teraz jednak przychodzi mi do głowy, że można ten cytat zinterpretować zupełnie inaczej: na drzewach zawsze będą liście, a Irlandczycy nigdy nie dadzą się ujarzmić.

Wędrowałam dalej. W zagłębieniach terenu osadzała się nieodmienna, delikatna, poranna mgiełka spleciona z rzadkimi smugami dymu z palących się torfowisk, ukrywając i zmiękczać wszystko swą delikatną gazą.

Kiedy podeszłam do montera Telecomu, jakieś pół godziny po tym, jak go dostrzegłam, on stał już w otwartych tylnych drzwiach furgonetki i grzebał w pojemniku z częściami zamiennymi. Gdy go mijałam, cichym głosem, nie obracając się i nie podnosząc wzroku, powiedział:

- Mickey kazał powiedzieć, że wpadnie do ciebie w przyszłym tygodniu. Nic nie mów. Idź dalej, do cholery. I następnym razem pozamykaj lepiej okna, jak będziesz wychodzić. Na górze, w sypialni od zachodu, zostawiłaś wszystko otwarte.

Mówił akcentem, który rozpoznawałam już jako typowy dla Północy, podobny do szkockiego vibrato Mary, tyle że ten był bardziej urywany, pozbawiony zmiękczeń z wrzosowiska; każde wygłoszone przez niego zdanie przechodziło na końcu w spłaszczony retoryczny ton.

Raczej nie powinnam się była zdziwić, a jednak głęboko się zdumiałam. Znowu. Każdy kontakt z ludźmi od Mickeya zadziwia. Już po raz trzeci dostałam wiadomość ni stąd, ni zowąd. Czuję się przez to zarówno chroniona, jak i bezbronna.

Ósmego dnia mojego pobytu tutaj siwy emeryt spod pubu O'Sullivanana wsunął mi do kieszeni kartkę, kiedy mijałam go po drodze do O'Mahoneya. Kartka zawierała nie podpisaną instrukcję, że mam w południe następnego dnia czekać na telefon w jedynej budce telefonicznej w Ballyroe, przed pubem Nolana.

Z kolei dwa dni temu spacerowałam po zatoczce podczas odpływu, nie zwracając specjalnej uwagi na kobietę, która zbierała małże ze skał. Miała przybrudzoną, długą spódnicę, ze wzorem jak na zasłonie, czarne farmerskie gumki i bezkształtny płaszcz, na głowie zaś coś w rodzaju siatki osłaniającej włosy przed wiatrem. Przez ten jej wygląd uznałam, że może się wywodzić z druciarzy, czy też „wędrowców”, bo tak się powinno ich nazywać, cygańskiego plemienia zamieszkującego obozowisko

przy drodze do Bandon. (Lokalna gazeta jest pełna artykułów o tym, że rada hrabstwa planuje wybudowanie dla nich domów. Wtedy będzie się ich nazywało „osiadłymi wędrowcami“.)

Siedziałam jakieś dwadzieścia minut na kamieniu, w słońcu, a w tym czasie kobieta się powoli zbliżała, aż wreszcie stanęła obok mnie i wtedy wsunęła mi w rękę foliową torebkę z nie podpisaną kartką od Mickeya, którą wyciągnęła z dna koszyka z małżami. Kartka głosiła: „Nawiązaliśmy kontakt. Już ich trzymamy za nabią!\".

Chciałabym wiedzieć jedno: jakim sposobem monter Telecomu - czy ktokolwiek to był, agent, który może jest, a może nie jest pracownikiem firmy telekomunikacyjnej - mógł się domyślić, że właśnie wtedy będę szła tą drogą, kiedy ja sama nie miałam o tym pojęcia, dopóki nie wybrałam się na spacer? Prawdopodobnie wiedział nawet, ile marchewek mam w kieszeni. Muszę spytać o to Mickeya. Nie, nie wolno mi. Ciekawe, którego dnia w przyszłym tygodniu?

Nabią to inaczej jądra.

28 STYCZNIA, MGLISTO

Sama od tygodni jestem jak we mgle. Od połowy listopada aż do Gwiazdki, tak myślę, przeważnie snułam się po Fricku w sennym, postkoitalnym otępieniu, jakoś tam wykonując swoją pracę.

Dryfowałam po morzu seksu. Niósł mnie prąd uczuć. Dałam się wprawić w rezonans niczym kamerton ustawiony obok grzmiącego muzyką fortepianu. Byłam wrakiem promieniejącym szczęściem.

To nie wina Mickeya. Przecież on nie może być winny, że na widok tego miejsca na jego prawym obojczyku, delikatnie zbryzganego piegami, nie wiedzieć czemu czuję silny przypływ podniecenia. I to za każdym razem, kiedy je widzę. Albo o nim pomyślę. Nie jest winny, że czerwienię się na widok jego grubawych kciuków, na wspomnienie o tym, w jaki sposób zawierały ze mną znajomość. I czy może być winien, że jego penis - jego „ptaszek\", wolę to przyjazne, delikatne słowo - jest w dotyku równie miły jak wtedy, gdy we mnie wchodzi, zwłaszcza przy tym pierwszym, powolnym pchnięciu, gdy moje mokre ciało poddaje się z ochotą, by przyjąć go raz jeszcze?

Nigdy wcześniej nie widziałam napletka. Nie, nieprawda - Max, z którym Katie bawiła się w niemowlęctwie, nie był obrzezany. Naprawdę zdumiałam się za pierwszym razem, kiedy zmieniałam mu pieluszkę i zetknęłam się z tą jego marcheweczką. Niemniej jednak u Mickeya zobaczyłam pierwszy dorosły napletek. To takie fascynujące, patrzeć, jak tam napływa krew, jak ukazuje się żołądź niby kwiat rozkwitający w świetle dnia. To takie wzruszające, takie inspirujące.

To ja, która bez mrugnięcia okiem, bez zachwyty przyjmowałam prawie wszystko, co przynosiło mi życie, jeśli chodzi o ludzkie towarzystwo, czułam, że wilgotnieję, kiedy zwlekaliśmy z dopiciem kawy w kawiarni znajdującej się dwie przecznice od mojego mieszkania, kiedy już wiedzieliśmy,

że będziemy razem. W drodze powrotnej z kolacji zarejestrowałam w sobie takie uderzenia gorącej krwi, takie fale łaknienia, że aż się zdumiałam i zachwyciłam, pamiętam, tym, jak dyskretnie jest zbudowane kobiece ciało.

Może to było widać na mojej twarzy? Zastanawiałam się nad tym przed witryną jakiegoś sklepu, zatrzymawszy się, żeby zerknąć na swoje odbicie. Zobaczyłam tylko twarz, którą znałam, a obok niej twarz mężczyzny, którego obojczyk, kciuki i jeszcze inne części ciała dopiero miałam poznać. I które miały wywoływać we mnie ten apokaliptyczny efekt na zasadzie ciągłości.

Polukrowana pożądaniem, taka się właśnie stałam, niczym jakieś erotyczne ciastko. Sama nie wiem... Czy to jest miłość?

Zamierzałam opowiedzieć tę historię chronologicznie, ale nie zaczęłam od samego początku. Być może prawdziwym początkiem była tamta szczególna noc, pod koniec grudnia, po kilku tygodniach spędzonych razem w łóżku (nie, żeby to miało jakieś znaczenie, ale gwoli ścisłości, wcale nie poszliśmy do łóżka po tamtej kolacji drugiego dnia naszej znajomości - choć muszę wyznać, z niejakim zażenowaniem, ale wcale nie ze wstydem, że zdaje się już od tego pierwszego dotknięcia ponad stołem w E.A.T. trwałam w stanie permanentnego podniecenia seksualnego). Któregoś wieczoru Mickey powiedział, że chciałby, abym nauczyła go czegoś o obrazach.

- Co? Jakich obrazach? - spytałam z rozmarzeniem, liżąc czubkiem języka krótkie, złote włoski obrastające jego lewy sutek.

On na to ujął delikatnie mój podbródek obiema dłońmi i odsunął moje usta od swojego torsu. Od świąt minęły trzy dni, była to nasza pierwsza noc po powrocie do Nowego Jorku. Oboje z Mickeyem pojechaliśmy pociągiem do Bostonu, gdzie spędziliśmy Boże Narodzenie z Pete'em. Przytaszczyliśmy mu zbyt dużą choinkę, a kiedy skończyły nam się ozdoby z pudła, które Pete przechowuje od moich dziecięcych lat, udekorowaliśmy resztę łańcuchami z popcornu i żurawin. Mickey, zręczny jak chirurg, nanizywał ziarna kukurydzy na nitkę, w ogóle ich przy tym nie krusząc, chociaż przysięgał, że nigdy wcześniej tego nie robił.

Z początku speszeni i nieufni - Pete i Mickey przypadli sobie do gustu w tak ekspresowym tempie, że poczułam się zbędna. Mickey ma w sobie szczególny, niewymuszony urok, często zapominam, że ma tylko dwadzieścia pięć lat. On ma starą duszę.

Jaki jest Mickey? Nie wiem. Wymyka mi się, kiedy próbuję porządnie się nad nim zastanowić. Poważny, zabawny, uprzejmy w taki jakiś dziwnie seksowny sposób, seksowny w niezwykle określony sposób. Pete w młodości musiał być chyba bardzo podobny.

Tego pierwszego wieczoru, kiedy zobaczyłam, jak Pete wyciąga swoją ukochaną Red Breast, dojrzałą irlandzką whisky, którą rzadko częstuje innych, wiedziałam już, że naprawdę znalazł w Mickeyu bratnią duszę. Gadali i pili do trzeciej nad ranem. Zanim Mickey dotarł w końcu do łóżka, spałam

już głęboko. Przed snem wzięłam do czytania mój sfatygowany, szkolny egzemplarz *Ciastek i piwa* Maughama, ale kilka razy wypadł mi z rąk, więc w końcu dałam za wygraną i zgasłam światło.

Następnego nocy znowu to powtórzyli i chociaż zaczęłam się czuć zaniedbywana, jednak w tej intensywności ich sympatii było też coś cudownego. Zapadłam w spokojny sen, odurzona cichym gwarem głosów dwóch mężczyzn, których kocham.

Było to od wypadku pierwsze Boże Narodzenie, podczas którego nie czułam się zagubiona i samotna, podczas którego nie pragnęłam tylko leżeć w odrętwieniu aż do początku nowego roku, gdy będę mogła wrócić do pracy.

- Chciałbym, żebyś jeden wybrała - powiedział, poważniejąc nagle. - Możesz to zrobić?

Było około siódmej wieczór, a więc musieliśmy wrócić do domu po całodziennym włóczeniu się po mieście (Muzeum Brooklyńskie, port przy South Street, World Trade Center); zdarliśmy z siebie ubrania i poszliśmy prosto do łóżka, nie zwracając sobie głowy jedzeniem.

Później przeważnie wędrowaliśmy, głodni jak wilki, do Amsterdam Avenue i zjadaliśmy kolację w jednej z pobliskich małych knajpek albo kupowaliśmy coś na wynos. Ten nawyk wyrobiliśmy sobie niemalże od razu. Czasami, kiedy byłam w pracy, Mickey zaczynał coś gotować tuż przed moim powrotem. To były bardzo szczęśliwe dni. Nie trzeba dodawać, że Mickey już prawie wcale nie mieszkał w Rego Park.

Co nie znaczy, że w owych tygodniach, podczas gwałtownej burzy wzajemnego poznawania się, nie mieliśmy czasu, żeby rozmawiać, rozmawiać, och, o wszystkim: o filmach, książkach, umiejętnościach Mickeya i jego ambicjach związanych ze stylowymi meblami, o jego miłości do żeglowania, o mojej miłości do sztuki, o mojej pracy, o temperaturze, w jakiej należy podawać piwo (tu nie byliśmy zgodni), o ulubionych rasach psów, o chińskiej kuchni, o zaletach i wadach spania przy podniesionych, względnie opuszczonych żaluzjach, o irlandzkiej polityce, o naszych przygodach w dzieciństwie, o moim ojcu (z którym Mickey parę razy ostrożnie rozmawiał przez telefon, zanim się poznali) - przerobiliśmy wszystkie typowe rozmowy zapoznawcze. (Choć, jak już mówiłam, później wyszło na jaw, że Mickey zna już, z jakichś tajemniczych źródeł, wszystkie szczegóły mojego życia.)

Do okien wciskał się najgłębszy, wieczorny mrok końca grudnia, a my leżeliśmy razem, spleceni niczym opite mlekiem kocięta.

Spojrzałam na niego uważnie i raz jeszcze ułożyłam głowę w kościstym zagłębieniu pod jego mostkiem.

- Wybrała jeden? O czym ty mówisz? Jaki jeden? Obraz? - Wsłuchiwałam się w ciche, miarowe uderzenia jego serca. - O, tam widzisz jeden - powiedziałam sennie, celując palcem w wiszący na ścianie sypialni oprawiony plakat z wystawy Matisse'a w Maroku. - Ten obraz jest bardzo niebieski. Bardzo marokański. Bardzo Matissowski. - Wciąż jeszcze byłam rozkojarzona.

- Chodzi mi o to, tak teoretycznie, czy gdybym ci pokazał kilka obrazów, to od razu byś wiedziała, który jest najlepszy?

- Och, Mickey, oczywiście, że tak, no pewnie. Możesz się założyć. Nagrodę imienia Patricii Dolan w dziedzinie doskonałości otrzymuje... ten jeden.

Wyciągnęłam rękę i przycisnęłam końce palców do rowka pod jego nosem, ukształtowanego tak samo idealnie jak rowek u Rafaelowskiego anioła. Wtedy lekko rozchylił wargi, a ja zjechałam niżej palcem wskazującym, wsunęłam go tam, między te wargi właśnie. Zachowywaliśmy się jak dzieci, ciągle się dotykaliśmy, ciągle bawiliśmy. Powitał mój palec, dotykając go czubkiem języka, tylko przelotnie, ale potem odsunął moją dłoń i odwrócił głowę, nagle poważny.

Próbowałam udzielić mu pełniejszej odpowiedzi.

- Każdy historyk sztuki, któremu zadasz to pytanie, zapewni cię, że to wie, ale prawdziwe pytanie brzmi: Czy dwaj różni historycy sztuki wybraliby ten sam obraz? Ludzie mają różne upodobania. No bo czy ostatecznie nie chodzi tu o poczucie smaku? Wszystko zależy od tego, kim jest dany historyk sztuki, jakie by to były obrazy i zapewne również od tego, co taki historyk sztuki jadłby danego dnia na lunch.

Mickey parsknął śmiechem wyrażającym zawód i przewrócił się na brzuch, uwalniając się ode mnie, zwalając obok na prześcieradło. Poczułam, że stężał, w jakiś trudny do uchwycenia sposób. Dotknęłam jego ramienia. Długo się nie odzywał.

- Mix? Przepraszam, że się z ciebie śmiałam. Obiecuję, że już będę poważna. Naprawdę chcesz, żebym coś dla ciebie zrobiła? Nie rozumiem, o co pytasz. Chcesz, żebym obejrzała czyjeś obrazy i coś doradziła? Ktoś z warsztatu Simona maluje? Wiesz, że nie bardzo się znam na współczesnym malarstwie. Nawet nie mam pojęcia, co się dzieje w galeriach.

- Czy myślisz - spytał wyważonym tonem, bardzo powoli i z rozmysłem, zaokrąglając wszystkie spółgłoski, zamiast pozwalać im się zamazywać na brzegach - tak na poważnie, Patricio, że dzięki swojej wiedzy o malarstwie holenderskim z siedemnastego wieku, potrafiłabyś wybrać najlepszy obraz Vermeera z grupy obrazów, wśród których wszystkie namalował Vermeer?

- Żartujesz sobie? To znaczy co, mam jechać do Hagi i obejrzeć razem z tobą wystawę Vermeera, czy co? To już zdaje się musztarda po obiedzie, tę wystawę zamykają za tydzień. Należało ją zwiedzić, kiedy była w Waszyngtonie.

Paplałam tak dalej o wystawie Vermeera, nie bardzo rozumiejąc, do czego właściwie prowadzą pytania Mickeya. Opowiedziałam mu przydługą i na poły niezbyt sensowną historię zasłyszaną od znajomej, która pracuje w Galerii Narodowej, o tym, jak sam prezydent wpadł na wystawę, niezapowiedziany, i służby specjalne zmusiły około dwóch tysięcy ludzi z biletami - zaplanowano po ośmiuset zwiedzających na godzinę; pomyśleć tylko, ilu ludzi zapragnęło choć tylko zerknąć na te dwadzieścia

trzy obrazy - do czekania przez dwie i pół godziny, ponieważ panu prezydentowi ni stąd, ni zowąd, właśnie tego ranka, zachciało się kultury.

- Czy dzięki temu, że pracujesz we Fricku, przysługiwałyby ci jakieś przywileje w Hadze? - spytał znieca Mickey.

- Nie bardzo. Wiesz, że nie chcieliśmy wypożyczyć na tę wystawę żadnego z naszych trzech Vermeerów, co jest bardzo typowe dla Fricka - odparłam, bo ciągle mi się wydawało, że rozmawiamy o tym, o czym rozmawiamy. - Bardzo niedobrze i to z wielu powodów. Nasze obrazy są ważne. Cóż, każdy Vermeer jest ważny, ale przynajmniej dwa z nich powinny się tam znaleźć z czysto naukowego punktu widzenia. A rozumując bardziej praktycznie, wtedy otworzyłyby się różne możliwości dla pracowników Fricka, którzy jeździliby do Hagi na delegacje i w ogóle byłoby nam wszystkim łatwiej ze zdobywaniem biletów na tę wystawę. Oglądaliśmy razem te Vermeery, kiedy oprowadzałam cię tamtego pierwszego popołudnia, pamiętasz? Tuż przed salą Fragonarda. *Oficer i roześmiana dziewczyna*, z żołnierzem w tym wielkim, czarnym kapeluszu? *Dziewczyna, której przerwano muzykowanie* była tuż obok. W ogóle nie podoba mi się jej twarz... jest jakaś dziwna, spłaszczona, wręcz jakby rozgnieciona. Jestem pewna, że Vermeer chciał przez to coś pokazać, ale mnie to nie bierze. Nasz najlepszy Vermeer, *Pani i służąca*, wisi w Zachodnim Skrzydle, razem z kilkoma Rembrandtami. To ostatni obraz, jaki kupił Henry Clay Frick, zanim kopnął w kalendarz, chociaż ciebie to zapewne nie interesuje.

Mickey przytakiwał mi ze zniecierpliwieniem i wykonywał ten obrotowy ruch dłonią, który albo stanowił znak, że mam mówić dalej, albo się streszczać i przejść do szczegółów. Usiłowałam wrócić do tego, co, jak sądziłam, stanowiło temat naszej rozmowy, czyli do mojej wizyty na wystawie Vermeera w Waszyngtonie.

- Mówiłam ci wtedy, że te Vermeery nie uczestniczą w zjeździe rodzinnym w Holandii, pamiętasz? Byłoby nie do pomyślenia, gdybym nie obejrzała wystawy Vermeera, nawet jeśli Frick ją przepiął. Dlatego więc poleciałam do Waszyngtonu na jeden dzień, żeby sobie popatrzeć, kilka miesięcy temu. Miałam służbową wejściówkę na rano, przed otwarciem dla publiczności. Naprawdę nie cierpię Waszyngtonu. Wszystko tam wydaje się przesiąknięte władzą. Zobaczyłam dom wariatów pełen VIP-ów ściskających wejściówki, a później miałam straszną ochotę na te przepyszne holenderskie naleśniczki, *pofterjes*, które już kiedyś jadłam, kiedy wybrałam się do Mauritshuis, latem mojego pierwszego roku w college'u. Byłeś kiedyś w Holandii, Mix?

- To ty już widziałaś te wszystkie obrazy? Te same obrazy, które teraz są w Hadze? W Mauritshuis?

Mickey wyprostował się gwałtownie i patrzył teraz na mnie z góry, z napięciem, jakby moja bezładna przemowa o wystawie Vermeera stała się nagle zbiorem bezcennych spostrzeżeń, najbardziej oryginalnych, jakie kiedykolwiek usłyszał. Nie odpowiedział na moje pytanie.

- No poniekąd tak. Źle to wymawiasz, mówi się „haus” a nie „hiuis”. Jak ty to powiedziałeś, hiuis? Podoba mi się. Brzmi to jakoś po irlandzku.

Zignorował mnie i ciągnął swoje:

- Więc widziałaś te wszystkie obrazy?

Wciąż nie rozumiałam, czemu Mickey tak się ekscytuje moimi uwagami na temat wystawy Vermeera.

- Wydaje mi się, że jest kilka takich płócien, które nie pojechały na obie wystawy; być może nie zaproszono do Hagi wszystkich obrazów, jakie upchnięto na waszyngtońskiej, niezależnie od obowiązującej obecnie filozofii. Być może było kilka takich obrazów z holenderskich muzeów, które pokazano w Hadze, ale za to nie były mile widziane w Waszyngtonie. Tak dzieje się często z wystawami objazdowymi, nie pamiętam szczegółów. Więc generalnie tak, widziałam wystawę Vermeera, choć być może nie absolutnie całą. Mickey, a odkąd ty się tak interesujesz Vermeerem? Nie wyglądałeś na szczególnie zafascynowanego tym, co widziałeś we Fricku. Mówiłeś nawet, że z całej kolekcji najbardziej podoba ci się Chardin. Mało tego, największy twój podziw wzbudził tunel łączący budynek biblioteki z głównymi zbiorami.

Nie odpowiedział mi. Myślał. Po chwili odezwał się, wciąż nie bardzo odpowiadając na moje pytanie:

- Patricio, gdybyś mogła wybrać jeden obraz z tej wystawy Vermeera, to który byś wybrała? - Niefrasobliwe pytanie, zadane w śmiertelnie poważny sposób.

- *Lekcję muzyki* - odparłam bez wahania, z równą powagą, ani trochę nie mając pojęcia, do czego to wszystko prowadzi. - Chcesz ją zobaczyć? Mam z pięćdziesiąt książek z reprodukcjami Vermeera.

Nie czekając na odpowiedź, wyskoczyłam z łóżka i poszłam do przedpokoju, którego ściany, od podłogi aż po sam sufit, są wypełnione półkami na moje książki.

- Proszę, oto ona - powiedziałam chwilę później, wracając z grubym tomem poświęconym Vermeerowi i jego kręgowi, który kupiłam jeszcze podczas studiów.

Usiedliśmy po turecku, nadzy, na łóżku, z książką ułożoną między nami na kołdrze.

- Od dawna jej nie oglądałam.

Sięgnęłam obok Mickeya po okulary do czytania leżące na nocnym stoliku. Jeszcze kilka tygodni wcześniej nawet bym sobie nie wyobraziła, że mogłabym znowu być z mężczyzną, tak swobodnie i intymnie. Pomyśleć, że mogę siedzieć w ten sposób, zupełnie naga, jeśli nie liczyć okularów, kompletnie się nie przejmując tyloma rzeczami: moim brzuchem czterdziestojednoletniej kobiety, zapachami, które wydziela moje ciało, włosami bez wątplenia w nieładzie. Od tak dawna nie czułam się taka żywa.

- Ubóstwiam tę kobietę - stwierdziłam, przerzucając kartki, by odnaleźć *Lekcję muzyki*. - Zawsze ją ubóstwiałam. Widzisz? To jest odpowiedź na twoje pytanie, wybrałabym właśnie ją. Ona nie ma

sobie równych. Popatrz na tę twarz. Popatrz na te ręce. Popatrz na to przesączające się światło. Na całym świecie nie znajdziesz takiej żółtej barwy jak żółty u Vermeera.

- Więc nie *Pani pisząca list w obecności służącej*? - Głos Mickeya zabrzmiał jakby błagalnie.

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Z powodu?

- Bez powodu. Osobiste upodobanie. Pytałeś o najlepszy. O mój najlepszy. *Pani pisząca list* mi się podoba, ale nie działa na mnie aż tak.

Mickey wertował książkę, jakby czegoś szukał. Aż wreszcie znalazł.

- A *Koncert*? Myślisz, że to ważny Vermeer?

- To mój pierwszy Vermeer. Boże, jak ja kochałam ten obraz. Ciągłe do niego chodziłam, kiedy byłam mała. Zawsze uważałam, że to cudowny obraz. - Byłam taka zadowolona, że Mickey wciąż wybiera te tematy, o których tak wiem. Proszę pani, proszę pani, ja powiem! Ja! Ja! - Ale oczywiście na wystawie go nie było. Zniknął w dziewięćdziesiątym roku, podczas wielkiego napadu na muzeum Gardner, dlatego o nim nie pomyślałam. Może dosłownie zniknął. Kto wie, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczymy ten obraz. Podejrzewam, że nikt nie wie, co się tam stało.

Mickey syknął z irytacją i mruknął:

- Ktoś na pewno wie. - Przeszukiwał album, przerzucał strony, przyglądał się reprodukcjom spod przymrużonych powiek. On chyba potrzebuje okularów.

- No tak, od czasu do czasu słyszy się dziwne plotki. Jest taki jeden niezbyt uczciwy marszand z Newburyport, który twierdzi, że coś wie, ale obecnie siedzi za jakieś fałszerstwo i obiecuje, że będzie mówić, jeśli go zwolnią. I jest też inny facet, który próbuje pójść na układ z FBI, żeby ocalić skórę; handluje antykami i zapewnia, że ma jakieś informacje. Co jakiś czas podnosi się szum wokół tych obrazów, ale kto wie, czy sprawa się kiedykolwiek wyjaśni? Nie dalej jak w zeszłym tygodniu wprowadziłam do katalogu fascynujący biuletyn Interpolu na temat tych płócien. Czy wiesz, że nagroda urosła już do pięciu milionów dolarów? Razem z Vermeerem ukradziono kilka fantastycznych Rembrandtów. Zrobiło mi się strasznie smutno, ostatnim razem, kiedy zwiedzałam Gardner; oni tam zostawili puste miejsca na ścianach, jakby chcieli wystawiać na pokaz nieobecność obrazów.

- Chwila. Przestań. - Mickey nabrał powietrza tak gwałtownie, że aż się przestraszyłam, że coś go boli albo złapał go skurcz. A on po prostu podniecił się czymś, co zauważył w tekście, na stronie obok *Lekcji muzyki*. - Tutaj piszą, że *Lekcja muzyki* to najmniejszy ze znanych Vermeerów i że została namalowana na drewnianej desce, a nie na płótnie. Czy to ma jakiś wpływ na wartość?

- W jakim sensie? Mix, malarstwa nie ocenia się tak, jakby to były towary. Mówiąc ogólnie, Vermeer był najlepszy w malowaniu kameralnych wnętrz. Wyjątkiem jest tutaj *Widok Delft*, jego największy obraz, jeśli mierzyć go w calach, rozumiesz? Jest zupełnie niezwykły, uważa się go za jeden z

najpiękniejszych obrazów świata. Zawsze sądziłam, że obsesja Swanna na punkcie Vermeera zaczęła się od tego płótna.

Nie jestem pewna, czy Mickey słyszał o Prouście, ale nie zrobiłam przerwy na przypisy. Był bardzo skupiony, głowę miał lekko przekrzywioną na bok, jakby nasłuchiwał jakiegoś odległego sygnału.

- Ale to nie jest najlepszy Vermeer, chociaż jest wspaniały - upierałam się, bo w tej kwestii potrafię być nieugięta i wojownicza. - Oprócz niego tylko Uliczka nie przedstawia wnętrza, chyba że uwzględnisz jego niektóre wczesne dzieła o tematyce religijnej albo alegorycznej, które ukazują skrawek nieba, ale ja ich w ogóle nie biorę pod uwagę, ponieważ interesują mnie najmniej. Moim zdaniem Vermeer tracił kontrolę nad światłem, kiedy opuszczał swoje wnętrza. *Uliczka* ma w sobie coś z kame-ralności takich obrazów jak *Lekcja muzyki*, ale gdybyś mi kazał wybierać zwycięzcę, to twoja Pani pi-sząca list byłaby dopiero druga, przynajmniej o całą długość za *Lekcją muzyki*.

Słownictwo związane z końmi dla większości ludzi brzmi metaforycznie, ale ja akurat znam je dobrze, bo kiedy byłam dzieckiem, Paddy często zabierał mnie na wyścigi i tłumaczył mi ich zasady.

„Który wygląda obiecująco, malutka?” - pytał. Zazwyczaj wybierałam swoich faworytów na podstawie imion, bo tylko imiona mi się podobały. Paddy obstawiał gonitwy na wyczucie, biorąc pod uwagę liczby. Sześć ptaków siedziało na płocie, który skonstruowano z sześciu prętów - dlatego koń numer sześć w szóstej gonitwie. Czasami wygrywał.

Paddy prowadził mnie do okienka, obstawiał za mnie dwa dolary i pokazywał mi, jak to się ro-bi. Dziesięć do jednego, jeżeli Nosaty Mike przybiegnie w pierwszej trójce. Sześć do jednego, jeśli bieg wygra Miss Berry Time. Miałam około ośmiu lat, kiedy z pieniędzy wygranych na wyścigach zo-stał założony mój pierwszy rachunek oszczędnościowy. Jeszcze dziś lubią czasem zerknąć do „Prze-glądu Wyścigowego”, popatrzeć na imiona.

Przez chwilę przyglądałam się *Lekcji muzyki*, z roztargnieniem wsłuchując się w dziwny ton py-tań Mickeya, i paplałam dalej.

- Musisz oczywiście zrozumieć, że nawet gdybyśmy zechcieli wskoczyć do samolotu, to i tak nie zobaczylibyśmy tego obrazu tak od razu. Choćbyśmy stawali na głowie, nie załatwimy biletów na ostatnie dni Hagi; właśnie dziś rano mówili mi w pracy, że nic nie mogli wskórać nawet dla nadziane-go członka naszego zarządu, który zadzwonił stamtąd, żeby sprawdzić, czy nasz dyrektor mógłby po-ciągnąć za jakieś sznurki. Każda minuta jest zaklepana, jak na ostatni lot z Sajgonu.

- Chętnie bym zobaczył tę twoją *Lekcję muzyki* - powiedział cicho Mickey.

- Ona nie jest moja. W rzeczy samej należy do królowej. Tak czy siak na ogół mija wiele tygo-dni, zanim obrazy po wypożyczeniu na taką wystawę powrócą na swoje dawne miejsca. Trzeba je naj-pierw wysłać do pracowni konserwatorskiej, gdzie sprawdza się ich stan, a jeszcze trafiają się tacy ku-stosze, którzy są święcie przekonani, że takie płótna powinny „odpocząć”, wyobrażasz to sobie? Więc

lekką licząc, może minąć miesiąc albo dwa, zanim *Lekcja muzyki* znowu zawiśnie na ścianie. A gdybyśmy tak... Masz ochotę wyskoczyć do Londynu, na przykład na wiosnę? Ona na stałe mieszka w pałacu Buckingham. Zdaje mi się, że w dzisiejszych czasach wpuszczają już tam pospólstwo.

Potrzebują kasy czy coś tam. „Znów przed pałacem zmienia się warta, kiedy przychodzą tam Krzys i Marta”. Mix, marzę o tym, żeby pojechać z tobą do Londynu i zabrać cię do National Gallery. Oni mają tam takie wspaniałe zbiory. Mają mojego ulubionego van Eycka.

Mickey się nie odzywał. Urwałam, ponieważ zdając sobie sprawę ze swojej skłonności do jednoczesnego paplania i pouczania, i znów spojrzałam w te jej oczy, znów zapatrzyłam się na ten blady uśmiech, na aurę rozbawienia obecną jakby nawet w tych dłoniach swawolnie rozpostartych na strunach lutni sprzed wieków.

- Może zaprzyjaźniła się z Arnolfinimi, jej sąsiadami zza miedzy w National Gallery - powiedziałam, żeby przerwać milczenie. Nie udało mi się. - Oni też trzymają owoce na parapecie.

Mickey nie mógł wiedzieć, o czym ja mówię. Wciąż milczał.

Potem, z pochylonymi głowami, długo jej się przyglądaliśmy. Powstrzymałam się od wygłoszenia kolejnego wykładu na temat ikonografii, walorów malarskich, wrażliwości północnej Europy i dziewiętnastowiecznego marszanda o komicznym nazwisku Jeronimo de Vries, i w ogóle cegokolwiek, żeby pozwolić Mickeyowi popatrzeć na ten obraz własnymi, a nie moimi oczyma. Prawdę mówiąc, od tamtego dnia aż do teraz Mickey nigdy mi nie zdradził, czy naprawdę coś czuje do tego obrazu.

- A więc to jest *Lekcja muzyki* - mruknął po chwili, jakby do siebie.

Czułam, że przygląda mi się uważnie, gdy wciąż się wpatrywałam w kolorową reprodukcję. Patrzyłam na nią, nie widząc jej tak naprawdę, bo tak bardzo ciążył mi jego wzrok. Milczał tak długo, że aż mi się zrobiło nieswojo, więc w końcu przerwałam ciszę żartem.

- Czy to będzie prezent na moje urodziny? Muszę przyznać, że dla ciebie planowałam coś skromniejszego, Mix. Może jakiś przyjemny, skromny jaguar XKE. Jaki kolor by ci się podobał? Pewnie zielony?

- Jest warta miliony, prawda? - spytał cicho, nie podchwytyjąc moich wygłupów.

- No chyba tak, miliony, no tak, pewnie. Być może setki milionów? Kto to wie? Vermeery nie pojawiają się ot tak, w Sotheby albo u Christiego. Znanych obrazów jest tylko... zaraz... nawet nie czterdzieści. Trzydzieści siedem? Trzydzieści pięć? Nigdy nie mogę spamiętać, które są uważane za potwierdzone, a które nie. Zależy, z kim rozmawiasz. Niektórzy bardzo ortodoksyjni uczeni uważają, że absolutnie pewnych jest tylko jakieś dwadzieścia osiem. Ja sama mam takie dziwne wrażenie, że z tą dziewczyną w czerwonym kapeluszu, tą z Waszyngtonu, coś jest nie tak. Ona też została namalowana na desce. A już z tą dziewczyną z fletem... to ten drugi waszyngtoński portret na desce... zdecydowanie jest problem. Ona jest jakaś taka... jakby za bardzo bezpośrednia, zbyt entuzjastycznie obec-

na. Twarz ma raczej w stylu Maesa, wiesz? Nie, pewnie, że nie wiesz, ale ci pokażę, to się sam przekonasz. Poza tym podczas ostatnich dwustu lat zrobili jej gruntowny peeling, co z pewnością nie wyszło jej na dobre. Ale też intuicyjnie czuję, że niektóre z tych kwestionowanych dzieł po prostu były nie dokończone w chwili jego śmierci i potem różni chciwi ludzie majstrowali przy nich, żeby je sprzedać. To by tłumaczyło, dlaczego pewne rzeczy są w nich dobre, a inne nie.

Ukradkiem zerknęłam na Mickeya, żeby sprawdzić, czy słucha. Wyglądało na to, że słuchał, więc mówiłam dalej:

- Nawiasem mówiąc, autentyczności *Lekcji muzyki* nikt nigdy nie podważał, mimo że została namalowana na dębowej desce. To jedyny bezsporny Vermeer na drewnie. Co, moim zdaniem, zapewne jeszcze dodaje mu wartości. Poza tym jego proveniencja jest nieskazitelna. Wdowa po Vermeerze rok po śmierci męża sprzedała go piekarzowi, żeby spłacić dług. Zapłacono nim za chleb. Czy to nie nadzwyczajne? Ten obraz zapłacił za chleb dla wdowy i jedenaściorga dzieci Vermeera.

Cieszyłam się, że mogę spuścić swoją wiedzę z uwięzi, pozwolić jej pogalopować, skoro Mickey najwyraźniej był równie zafascynowany moim znawstwem, jak tematem dyskusji. Ale nagle się opamiętałam, dotarło do mnie, że siedzę tak naga, że gadam, co mi ślina na język przyniesie, że robię z siebie idiotkę, zanudzam go.

- Zresztą wszystkie Vermeery należą do jakichś muzeów albo publicznych galerii - zakończyłam. - Dlatego nie sposób orzec, ile ten obraz może być wart. Jaką wartość może mieć coś, co jest bezcenne?

- Doskonale - westchnął. - Ty jesteś doskonała i ona jest doskonała. I w dodatku jest Angielką i należy do samej Betty Windsor, a to już szczyt wspaniałości. Kocham was obie.

Mickey pochylił się i pocałował książkę, pocałował kobietę z *Lekcji muzyki*, bardzo delikatnie, w policzek, a potem z czcią zamknął album, ułożył go na podłodze obok łóżka i pociągnął mnie za sobą na poduszki. Okryłam się kołdrą, nagle zmarznięta. Mickey wyciągnął się na plecach, z rękami pod głową, zamyślony, jakby właśnie rozstrzygnęła się sprawa jakiejś wielkiej wagi.

- Ach, Mix, czy ta rozmowa miała jakiś sens? - odważyłam się spytać po długim milczeniu.

- Ta rozmowa zmieni twoje życie - odparł.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, kiedy znalazłam się z nią sam na sam - jest to coś niezwykle dla mnie ważnego i nie boję się do tego przyznać, chociaż niektórzy uznaliby, że ryzykowałam uszkodzenie obrazu - było wyjęcie deski z ram. Zrobiłam to, żeby usunąć szybę.

Nienawidzę szkła. Nie potrafię wyrazić tego łagodniej. Nienawidzę go. To taka najnowsza moda w muzeach: szkli się obrazy, bo to jest tańsze niż zatrudnianie dostatecznej liczby strażników, i w ten sposób chroni się towar - dzieło sztuki, które ludzie oglądają przelotnie podczas instalacji interaktywnego CD-ROM-u - przed wandalizmem lub przypadkowym zniszczeniem. I taka szyba jednocześnie sprawia, że obraz nie jest do końca obecny. Obrazu za szkłem po prostu nie widać.

Nie obchodzi mnie, co ktoś powie: szkło antyrefleksowe jest jeszcze gorsze, kompletnie mumi-fikuje obrazy. Ale nawet pod zwykłą szybą faktura dzieła zostaje stępiona, widać wszystkie te prze-kłęte odbicia ohydnych reflektorów, innych ludzi albo ciebie samego, a sztuka zwyczajnie nie może oddychać. Nie przychodzi mi do głowy nazwisko żadnego malarza, który chciałby, żeby jego prace oglądano przez szklaną tafłę zamontowaną w odległości ćwierci cała od zamalowanej powierzchni. W większości muzeów oświetlenie jest tak fatalne, że oglądanie obrazu za szkłem prawie się nie różni od oglądania reprodukcji. A nawet bywa jeszcze gorsze.

Odbiorcy sztuki nie poznają się na tym. Większość odbiorców najprawdopodobniej nawet nie zauważyła, że te szyby tak się rozpleniły. Odbiorcy rzucają okiem na dzieła sztuki, a potem gromadnie pędzą do sklepu z pamiątkami. I co mam tu powiedzieć? To są ci sami ludzie, którzy zgodzili się na seks z prezerwatywami. Zasady są dość podobne. Żyjemy w epoce ryzyka, gołe oko nie może już bez-piecznie przyglądać się obrazowi należącemu do publicznych zbiorów.

Uwolniłam ją od tego obrzydliwego szkła, a potem, zanim na powrót osadziłam deskę w ramach - wspaniałych holenderskich ramach, zapewne osiemnastowiecznych, z ponurego czarnego drewna, które stanowią idealną oprawę dla tego obrazu, zamiast tych pozłacanych cudeniak z gipsu krzyczą-cych „Jestem arcydziełem!”, w jakich w niektórych muzeach bezpodstawnie więzi się holenderskie obrazy z siedemnastego wieku - siedziałam z tą prostą, pomalowaną deską w rękach i patrzyłam, pa-trzyłam, patrzyłam. Jeśli coś stanie się ze mną, zanim to wszystko się skończy - nieważne jak - na pewno ta godzina mi to wynagrodzi.

Nie, naprawdę nie wiem, jak oni to zrobili, ale nie jestem naiwna.

Mam nadzieję, że nikomu nic się nie stało. Nie pytałam.

29 STYCZNIA, ZIMNO I POGODNIE

Mickey i ja przegadaliśmy całą tamtą noc. Nie weszłam w to na ślepo. Miał rację - ta rozmowa rzeczywiście zmieniła moje życie.

Mickey zgłosił się na ochotnika do Provos, tak zwanej „tymczasowej” frakcji IRA, kiedy miał piętnaście lat. Twierdzi, że od dziecka wiedział, że zrobi coś takiego. „Kłopoty”, tak się ich tu nazywa - proste określenie na skomplikowaną sytuację - stanowiły element codziennego życia, mimo sennej atmosfery panującej w West Cork. Jego ojciec co wieczór, gdy krowy były już wydojone, wędrował do jedyne go pubu z telewizorem, gdzie zbierali się mężczyźni z okolicy, żeby razem oglądać wiadomości o strzelaninach i bombach, które wybuchły na północy, żeby pić piwo i wspólnie politykować.

Mickey już jako pięciolatek zaczął towarzyszyć ojcu; siadywał na barze, budował domki z pod-stawek pod kufle, zjadał całe paczki chipsów, słuchał, patrzył i nabijał sobie tym wszystkim głowę. Chował się na tej nienawiści, chował się na obsesji na punkcie zemsty i konspiracji.

Żeby zaciągnąć się do IRA, Mickey opuścił Dublin i wyprawił się na Północ. Rodzinie powiedział, że chce spędzić weekend z przyjacielem, którego poznał w Donegal, podczas Gaeltacht, czyli tradycyjnego letniego kursu języka irlandzkiego, na który posyła się wielu irlandzkich nastolatków. (Mickey twierdził, że podczas tych letnich zjazdów nabierało się zarówno biegłości w mówieniu, jak i w miłosnych podrywach.)

Jego przyjaciel Eamonn O'Doherty, przystojny chłopak z Howth, łatwo sobie poczynił z dziewczynami i rozśmieszał wszystkich, parodiując księży i zakonnice, którzy prowadzili z nimi zajęcia. Mickey - „pryszczaty, głupi gnojek”, tak sam siebie określał - patrzył w niego jak w obraz.

Eamonn zwerbował go do swojego oddziału złożonego z podobnych do niego chłopaków - zapaleńców i patriotów gotowych oddać życie za wolną i zjednoczoną Irlandią, pragnących skuteczniejszej broni niż „pociski żebraków”, czyli po prostu kamienie.

„To cud, że mnie nie zabili ze trzy albo cztery razy”, tyle tylko powiedział Mickey o tych pierwszych miesiącach rekruta. I zaraz zmienił temat. Nie zdradził nic więcej, ale domyślałam się, że wykorzystywali go do podkładania ładunków oraz przemycania części do produkcji bomb, i jestem też prawie pewna, że przykładał rękę do ich składania.

Takie mam podejrzenia, bo kiedy byliśmy u Pete'a, Mickey dziwnie się przeraził, gdy przyniosłam im obu po kawałku bożonarodzeniowego ciasta owocowego, jak nakazuje tradycja, z grubym lukrem z marcepanu. Zrobiło się późno, w butelce Red Breast już pokazało się dno i zapewne tym należało tłumaczyć odruchową reakcję Mickeya. Odepchnął talerz, mrużąc, że nie znosi marcepanu, bo pachnie zupełnie jak żelatyna wybuchowa, od której, dodał, strasznie boli go głowa.

Z takim niewinnym wyrazem twarzy zawsze podróżował bez przeszkód. Dziesięć lat już tak działał, a jednak nigdy nie został aresztowany i być może nawet nie trafił na listę znanych aktywistów IRA.

Mickey powiedział mi jeszcze jedno o tych latach: jego przyjaciel Eamonn zginął na jego oczach, kiedy uciekali z jakiejś akcji w Bogside, prawdopodobnie było to podłożenie bomby zorganizowane przez ich brygadę z Derry. Namierzył go angielski snajper. Obaj mieli wtedy po siedemnaście lat.

Zostało nam niewiele czasu.

Mieliśmy dziesięć dni do zamknięcia wystawy w Hadze i może jeszcze dwa, trzy dni, zanim obrazy zaczną wyjeżdżać z Holandii. Było to ostatnie miejsce, do którego dotarła wystawa, więc odtąd cały zbiór nie musiał już podróżować razem, tylko każde płótno, jedno po drugim, miało wracać do własnego domu, tak jak było wygodnie instytucjom, które je wypożyczyły. To mogło uprościć nasze zadanie, pod warunkiem że się właściwie przygotujemy.

Tamtej nocy i przez kolejne dni Mickey zadawał mi dziesiątki szczegółowych pytań, a ja odpowiadałam, jak umiałam najlepiej. Kiedy mówiłam, że czegoś nie wiem, namawiał zawsze, żebym

uciekła się do swojej wyobraźni i umiejętności logicznego myślenia, i wkrótce znajdowałam jakąś odpowiedź.

Po uszy zajęty sprawą, co wieczór, po kilku seriach takich pytań i odpowiedzi, dzwonił gdzieś gorączkowo z bezpiecznego telefonu komórkowego. Obraz w tych rozmowach był nazywany „przesyłką od Betty”. Słuchał, przekazywał mi kolejne pytania i powtarzał odpowiedzi, używając do tego jakiegoś szyfru, w którym nie dawało się dopatrzeć żadnego sensu. A parę razy burknął tylko: „Odzwoń za dziesięć minut”, po czym biedził się ze mną przy tykającym zegarze. Telefon zawsze dzwonił dokładnie dziesięć minut później i do tego czasu ja miałam już przygotowane jakieś odpowiedzi, a tamci - kimkolwiek byli, gdziekolwiek byli - podawali kolejne pytania.

Wchodził też, kilka razy tak było, do mojej łazienki, zamykał drzwi na klucz i odkręcał do oporu kran nad wanną, dzięki czemu mogliśmy odbyć coś w rodzaju prywatnej rozmowy. Nie przejmowałam się tym. Tak to już musiało być. Tak to się właśnie robi.

Przekazałam mu moc informacji, poczynając od zwrotów używanych przez ludzi ze świata muzeów, a kończąc na opisach formularzy wypełnianych przez kurierów, organizacji transportu na lotnisko, wyglądu dokumentów przewozowych i wymogów bezpieczeństwa stawianych przez towarzystwa ubezpieczeniowe.

W pracy - niewiarygodne, a jednak wciąż chodziłam do biblioteki, trzymając się swojego normalnego harmonogramu pracy - bardzo dyskretnie skorzystałam z naszych komputerowych łączy i dzięki temu udało mi się dotrzeć do akt korespondencyjnych muzeów, które wypożyczyły dzieła na wystawę. Zdobyłam sporo szczegółowych informacji o tym, jak będzie przebiegało jej likwidowanie.

Dzięki pogawędce z odpowiednim kustoszem zdobyłam nazwisko pracownika londyńskiej National Gallery, któremu powierzono przywiezienie Vermeera królowej, wracającego razem z innymi wypożyczonymi obrazami z tej galerii.

Kustosz z Fricka, który powierzył mi tę beczenną informację, Fred Lewis, krótkowzroczny człowieczek z wielkimi wąsami przywodzącymi na myśl kierownicę roweru (podejrzewam, że szczotkuje je co rano, jakby były jego zwierzątkiem domowym), zadeklarował również, że zawsze będzie miał na mnie oko, gdy mnie zobaczy w towarzystwie mojego kuzyna z Irlandii, którego mu przedstawiłam, gdy szliśmy razem podziemnym przejściem łączącym budynek biblioteki z głównym budynkiem galerii Fricka. W tym tunelu zawsze mam wrażenie, że wykonuję jakąś tajną misję na rzecz kultury - to przez tę wytworność, elitarność, wyrafinowanie, jakimi buchało z tych wnętrz.

Fred wyjaśnił, że tego pierwszego popołudnia, kiedy buszowaliśmy po oddziałach galerii, widział wielokrotnie, jak Mickey się rozgląda, i nie mógł się wtedy opędzić od myśli o irlandzkim Vermeerze, którego w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat aż dwukrotnie kradziono z Russborough House w Dublinie. Przypomniał, że obie kradzieże zorganizowała IRA. *Panią piszącą list w obecności służącej* odzyskano dopiero w Brukseli, w 1993 roku. Po raz pierwszy widziałam ją w Waszyngtonie.

- O choroba. Już to widzę, jak się będą cackać z tym ich bezcennym płótnem, gdy będzie wracało do Dublina. - Fred uśmiechał się z afektacją: mówił to wszystko wstrętnym tonem zadowolonego z siebie gнома. - Na wypadek, gdyby IRA ubrdała sobie, że do trzech razy sztuka. - Nie zwracając uwagi na moją chłodną reakcję, dodał: - Wiesz, czemu mieli wielki głód? Te biedne irlandzkie głupki nasadziły sobie ziemniaków, ale potem nie umiały ich znaleźć.

Cha cha cha.

Tak więc weszłam w to. Mimo że nie przypominam sobie teraz, kiedy o tym myślę, żadnego takiego określonego momentu, w którym zgodziłabym się wziąć w tym udział.

I nie było też momentu, w którym powiedziałabym: „Nie, zaraz, ja tego nie zrobię. Nie prosz mnie o to”.

Wszystko wydawało się takie właściwe, takie nieuniknione. Powtarzam się? Za często się tłumaczę? Ja naprawdę tak czułam. Dopiero wtedy, kiedy przetrząsałam pliki komputerowe w poszukiwaniu informacji dla Mickeya, dotarło do mnie, że się zgodziłam, że biorę udział w nielegalnym spisku, którego celem jest kradzież.

Wyobraziłam sobie siebie w oczach moich kolegów z biblioteki - kompetentna, dość chłodna, pozbawiona poczucia humoru kobieta, kobieta samotna, bez namiętności i upodobania do przygód. To było takie podniecające, siedzieć tam wśród nich, wykonywać te same czynności co zwykle i wiedzieć, że podobnie jak Mickey, jestem poza wszelkim podejrzeniem. Właśnie podczas tamtej rozmowy z Fredem Lewisem, kiedy w nowy, osobisty sposób odczułam siłę jego odruchowej pogardy dla Irlandczyków, zrozumiałam, jak niewzruszona jest moja pewność, że przyłączając się, postępuję właściwie.

Wiem, że Mickey wykorzystał moją namiętność do Vermeera, że dzięki swoim inteligentnym informatorom, kimkolwiek są, doskonale wiedział o mojej znajomości tematu. Nie mam pojęcia, jak się zdobywa takie informacje. To jedna z wielu rzeczy, na których kompletnie się nie znam i nie powinnam znać, choć muszę przyznać, że pochlebia mi, a zarazem mnie przeraża, że w gruncie rzeczy Mickeyowi zlecono, aby mnie znalazł i tą drogą zbadał, czy ten plan się powiedzie, czy uda się wykraść jakiegoś Vermeera i wyznaczyć za niego okup w wysokości 10 milionów funtów sterlingów. Mickey wykorzystał moją namiętność na wszelkie możliwe sposoby. A ja mu na to pozwoliłam.

Jak umiałam najlepiej, snułam domysły na temat skrzyń na obrazy, dokumentów przewozowych i setek innych szczegółów. Przypuszczam, że większość moich informacji okazała się przydatna. A to z kolei czyni mnie winną współudziału w przestępstwie i to od samego początku, wiem o tym. Powtórzę to raz jeszcze, bo chcę, żeby wszystko było jasne: każdy krok czyniłam z własnej, nieprzymuszonej woli i z otwartymi oczami.

Mickey bardzo się zapalił do mojego - zrodzonego jakby z natchnienia - pomysłu podwójnej skrzyni z ukrytą przegródką. Dużo było gadania na ten temat i w końcu naszkicowałam mu ją. „A jak

byś podłożyła kopię w miejsce prawdziwego obrazu?" - wypytywał. „Kiedy będzie najlepszy moment?"

Gdy byłam mała, Paddy dał mi pudełeczko z balsy do robienia magicznej sztuczki - pięciocentówki w nim znikaly, a zamiast nich pojawiały się dziesięciocentówki. Wykorzystałam tę zasadę i wymyśliłam, że trzeba podłożyć pozornie pustą skrzynię z ukrytą wewnątrz kopią; podczas wyjmowania oryginału wyciągałoby się również fałszywe dno i wtedy na jego miejsce wskakiwałaby kopia. Dzięki temu inwentaryzacje niczego by nigdy nie wykazały, choć przez jakiś czas skrzynia zawierałaby dwa obrazy. Ktoś tylko musiałby się bardzo porządnie przyjrzeć pustym skrzyniom w magazynie, żeby ta nowa skrzynia niczym się nie różniła od starej. Podrobienie skrzyni wymagałoby znacznie większej staranności niż wykonanie kopii obrazu.

Najważniejszym elementem kopii, podkreślałam, będzie identyczna rama, ponieważ obrazy zdjęte ze ścian Mauritshuis zostaną pieczołowicie umieszczone w robionych na miarę, wyłożonych filcem pojemnikach, czemu towarzyszyć będzie sprawdzanie najrozmaitszych list i składanie podpisów przez służby ochrony, a kiedy boczne, rozsuwane ścianki zostaną już przyśrubowane do ich rowków, nikt nie będzie chciał brać na siebie dodatkowej odpowiedzialności i fatygować się odkręcaniem ich na nowo, chyba że znajdą się powody, by przeprowadzić jeszcze jedną kontrolę.

No i - ależ mi się to podoba! - biorąc poprawkę na to, że obrazowi, który jest oszklony, trudno się przyjrzeć dokładniej pod kątem, mogła wystarczyć najwyklesza kopia, tania reprodukcja. Na przykład taka, jaką sprzedają w sklepach z pamiątkami w każdym muzeum, gdzie na ścianach wiszą Vermeery. Mamy takie we Fricku, były takie w National Gallery i jestem pewna, że sprzedają je też w Mauritshuis. Mniejsze obrazy reprodukuje się zwykle w naturalnej wielkości, na kartonie o fakturze płótna. Ludzie to kupują. Sklep z pamiątkami we Fricku sprzedaje ich kilkaset rocznie. Za około dwadzieścia dolarów można kupić „luksusową" wersję *Lekcji muzyki* na sklejce, dzięki czemu naprawdę wygląda jak autentyk. To najpopularniejsza reprodukcja Vermeera w naszym sklepie, może dlatego że jest taka mała - mniej więcej wielkości sandwicza.

Tę nową skrzynię z ukrytą w środku kopią należało podłożyć w Mauritshuis jak najszybciej, póki obrazy jeszcze wisiały. Żeby po zamknięciu wystawy już tam była, by pracownicy Mauritshuis mogli umieścić *Lekcję muzyki* w zrobionej na miarę przegródce. Dopóki obrazy wisiały na ścianach, pracownicy ochrony pilnujący pomieszczenia z pustymi skrzyniami nie musieli być zbyt czujni. A skrzynia na *Lekcję muzyki* miała być jedną z najmniejszych i stosunkowo łatwo ją było ukryć.

Usłyszałam, że przemycenie nowej skrzyni dla *Lekcji muzyki* nie będzie problemem. Mieliśmy tam już kogoś, kto mógł wchodzić i wychodzić o każdej porze, wtyczka w służbach konserwatorskich; już od roku dostępne były sporządzone przez niego plany budynku. Za to z pozbyciem się starej skrzyni sprawa miała się gorzej. Należało albo ją zniszczyć, albo jakoś zmienić jej wygląd i to we wnętrzu

muzeum, bo - gryzł się tym Mickey - jej przedwczesne wykrycie mogłoby sprawić, że wszystko wzięłoby w łeb.

Usunęłam tę przeszkodę bardzo prosto - kilka wielkich nalepek z napisem OSTROŻNIE! SZKŁO!, którymi zaklei się oznakowania Galerii Królewskiej w pałacu Buckingham, a oprócz nich gotowy szablon, mała tubka szybko schnącej, bezzapachowej farby i pędzel do szablonów. W kilka sekund skrzynia mogła otrzymać nowy rodowód, np. Städelches Kunstinstitut, Frankfurt nad Menem - byle tylko nie zapomnieć o umlaucie. Następnie należało oznaczyć skrzynkę jako pustą (i dowiedzieć się, jakie są holenderskie i niemieckie odpowiedniki słowa „pusta”, i wypisać je obok angielskiego słowa), niebieskim mazakiem dodać w kilku miejscach „1974” czy coś podobnie pozbawionego znaczenia i wprowadzającego w błąd, a potem przenieść skrzynię na sam tył magazynu. Wiem, jak wyglądają muzealne magazyny i mimo że Holendrzy są znani z zamięłowania do porządku, to jednak przypuszczam, że przez wiele lat nikt nie będzie sprawdzał tej skrzyni.

Sama *Lekcja muzyki* jest tak mała - niecałe sześć na siedem cali. Jeśli nikt nie zauważy zniknięcia oryginału, zastąpionego przez kopię, wówczas bardzo długo mogą nie odkryć zamiany Zrozumiałam, że najważniejsze będzie znaleźć moment, gdy ochrona nie będzie pilnować skrzyni. Zasugerowałam, że prawdopodobnie stanie się tak na lotnisku, gdy ostrożni Holendrzy przekażą już obraz, nie wcześniej.

Moje sugestie najwyraźniej się przydały.

Od pierwszego wieczoru było oczywiste, że nie powinnam zadawać żadnych pytań. Na początku, kiedy nie potrafiłam się powstrzymać i jakieś mi się wrywało, Mickey milkł, po prostu nie odpowiadał, czego ja nie znosiłam, ale to mnie jednak dość prędko nauczyło, że powinnam przestać pytać. To, czego nie wiem, nie może mi zaszkodzić. To, czego nie wiem, nie może zaszkodzić nikomu innemu.

Zrobili to. Podejrzewam, że obraz został wyjęty ze skrzyni na lotnisku Schiphol, w dziale przesyłek towarowych British Airways, ale nie znam szczegółów. Nie mam pojęcia, czy doszło do użycia przemocy, czy raczej wszystko odbyło się w rękawiczkach. Wiem natomiast, co zaplanowano z góry, że każdy strażnik, który znajdzie się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, zostanie przykuty do kaloryferów albo jakiejś rury, a oprócz tego skrupowany i będzie miał zaklejone oczy taśmą, przez co nawet jeśli będzie podejrzewał, że coś zostało ukradzione, to będzie im bardzo trudno stwierdzić, co dokładnie, i wynikłe z tego zamieszanie pozwoli zyskać na czasie. Niemniej całe moje wyobrażenie, jak taka akcja może wyglądać, jest oparte na tym, co widziałam w telewizji i na filmach. Nie mam bladego pojęcia, jak oni to zrobili, i nie chcę tego wiedzieć. Wolę sobie wyobrażać, że wszystko poszło jak po maśle.

Nie wiem na przykład, kiedy odkryto kradzież, chociaż najprawdopodobniej stało się to już po rozpakowaniu skrzyni, w Londynie. Potem zapewne pojawiły się wątpliwości co do tego, gdzie i pod

czyją jurysdykcją dokonano samego przestępstwa. Może to z tego powodu, a może ze względu na żądania okupu - nie mam tu ostatecznie żadnej pewności - dotąd informacja o kradzieży nie została podana do publicznej wiadomości.

Mickey powiedział mi, że „poszło bombowo”, co z początku mnie przeraziło, dopóki nie wyjaśniliśmy sobie językowego nieporozumienia. Zgodnie z instrukcją czekałam w budce telefonicznej obok pubu Nolana, w samym środku Ballyroe, naprzeciwko sklepu O'Mahoneya, ale Bóg jeden wie, gdzie był Mickey. Połączenie było marne, rozmawialiśmy bardzo krótko, ale słyszałam głos Mickeya po raz pierwszy od Nowego Jorku, więc rozpaczliwie chciałam słuchać go jak najdłużej. Kieran O'Mahoney przyglądał mi się ze swojego sklepu. Annie Dunne przyglądała mi się ze swojego. Odwróciłam się do nich tyłem, wystraszona, że w jakiś sposób domyślą się treści rozmowy na podstawie wyrazu mojej twarzy.

Mickey chciał powiedzieć, że poszło fantastycznie. Z początku nie uwierzyłam, zwłaszcza że ani w gazetach, ani w radiu BBC nie było o tym nawet słowa.

Kiedy tak czekałam, sama jak palec w tej chacie, dzień za dniem, przez cały tamten nie kończący się tydzień, przechodziłam od momentów uniesienia i zachwytu nad własnym ciałem, umysłem, pięknem wszechświata i tak dalej, do paranoicznych przypuszczeń, że w rzeczywistości padłam ofiarą nadzwyczaj pokrętnego żartu albo oszustwa. A może padłam ofiarą jeszcze czegoś innego? Może właśnie ktoś plądruje moje mieszkanie? Może Mickeyowi chodziło o moje pieniądze? Dałam się wciągnąć w jakiś niesamowity szwindel? A potem, kiedy roztrząsanie wszystkich aspektów przekonywało mnie, że to się dzieje naprawdę, zastanawiałam się przez jakiś czas, czy przypadkiem nie stałam się pionkiem w jakiejś niebezpiecznej grze politycznej, której w ogóle nie pojmuję.

Trudno było w to wierzyć, bo, muszę wyznać, cała ta intryga wydawała mi się fantastyczną przygodą, pokrętnym czarodziejskim spektaklem *role-playing*, najcudowniejszą grą, do której zaproszenie napawało mnie dreszczem. Cały ten czas, kiedy załatwiałam sobie w bibliotece urlop na czas nieokreślony, pakowałam ubrania, porządkowałam rachunki, które trzeba było zaraz zapłacić, dzwoniłam do Pete'a, żeby go wymijająco powiadomić, że wybieram się do Irlandii z Mickeyem, kupowałam bilet i wsiadałam do tamtego samolotu (Mickey niespodzianie zniknął dwa dni wcześniej, zostawiwszy mi na sekretarce wymruczaną jednozdaniową wiadomość, że zobaczymy się „w domu”), a potem jeszcze pokonywałam drogę do chaty nad zatoczką Gortbreac, tak jak mnie szczegółowo poinstruowano, wciąż mi się wydawało, że to jest jakaś niesamowicie ekscytująca przygoda, szalona fantazja.

I że oprócz Mickeya nie miałam żadnego kontaktu z IRA, w każdym razie dopóki nie zaczęłam dostawać od niego wiadomości. Tak więc nic, co robiłam, nie pasowało do moich wyobrażeń o akcjach Irlandzkiej Armii Republikańskiej. (Które są, zdaje się, bardzo kinowe, zdominowane wizją Harrisona Forda, który ściga złych ludzi w czarnych kominiarkach.) Jeszcze tylko musiałam zobaczyć pistolet. Wciąż jeszcze muszę zobaczyć pistolet.

A jednak oni to zrobili. Nie wiedziałam o tym, ale zrobili to trzeciego dnia mojego pobytu w Ballyroe. Bałam się, że plan zawiódł, bo o niczym nie słyszałam. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca i w miarę upływu kolejnych dni, kiedy to bez końca tłumaczyłam sobie w duchu, że ten niedorzeczny plan jest jak najbardziej rzeczywisty, coraz bardziej się zamartwiałam, że stało się coś strasznego.

W połowie tygodnia przyszło mi do głowy, że nie mam się jak skontaktować z Mickeyem, a że nie mam też kontaktu z nikim innym, jestem zdana tylko na siebie. Bałam się, że został ranny. Uprzymniłam sobie, że nie mam pojęcia, czy Mickey miał brać udział w głównej akcji w Hadze. A jeśli nie, to gdzie on jest? W jakiejś podziemnej kwaterze głównej IRA, w Belfaście? W Rosscarbery, o rzut kamieniem stąd? Powoli ogarniała mnie złość. Chodziłam na krótkie spacery, trzęsłam się z zimna, wypijałam całe dzbanki herbaty, co godzinę słuchałam BBC i starałam się nie ulegać panice, że oto zostałam zwyczajnie porzucona tu, w Ballyroe, i że on już nigdy nie da znaku życia.

Ludzie Mickeya nie przewidzieli, że holenderska policja, Interpol, Downing Street i MI5 - wszyscy, którzy zasiadają w wielkiej radzie bezpieczeństwa międzygalaktycznego w wypadku tak niesłychanej kradzieży dzieła sztuki należącego do królowej - postanowią nabrać wody w usta. Nie miałam jak się o tym dowiedzieć, ale zanim obraz dotarł do Ballyroe, do pałacu Buckingham zadzwoniono już z żądaniem okupu: 10 milionów funtów w złocie, w nie oznakowanych sztabkach.

Gdzie był obraz przez te osiem dni, od chwili, gdy go wykradziono, do chwili, gdy trafił do mnie? Krótko przed zniknięciem z Nowego Jorku Mickey rzucił zdawkowo, że łodzie mieszkalne na Amstel są nadspodziewanie wygodne, więc być może z Hagi przewieziono go do Amsterdamu. A może nie. Powoli do mnie dociera, że wielki specjalista od zdobywania informacji jest być może również ekspertem od wprowadzania w błąd.

Jakie to zdumiewające, patrzeć na ten obraz i nie wiedzieć, gdzie był, wiedząc jednocześnie, że wędrował ulicami, autostradami, że przemierzał świat - świat, który twierdzi, że bardzo mu na tym obrazie zależy - ale ten świat nie miał pojęcia, że on tam jest. Czy *Lekcja muzyki* owinięta w płachtę folii z bąbelkami i schowana w walizce nadal jest piękna?

Walter Benjamin podkreśla, że wszelka twórczość artystyczna wywodzi się z przedmiotów kultu. „Ważniejsze jest, iż wytwory owe są, niż to, że się je widzi”. I dodaje jeszcze: „Wartość kultowa dzieła sztuki jako taka zdaje się dziś wręcz skłaniać do przechowywania go w ukryciu... Bo podobnie jak w zamierzchłych czasach dzieło sztuki, z racji faktu, że absolutny ciężar jego znaczenia spoczywa na wartości kultowej, stało się przede wszystkim instrumentem magii”.

Lekcja muzyki jest instrumentem magii. Teraz zresztą być może stała się także instrumentem zmian, talizmanem, zaklęciem, które zmusi tych, co mają władzę, by wreszcie posłuchali i podjęli jakieś działania.

Ci, którym powierzono transport obrazu, zapewne nie zareagowali na niego w jakiś osobisty sposób. Czy przystanąłby przed nim w muzeum, choćby na chwilę? Dla nich być może wcale nie był

piękny. Jego piękno wiązało się już raczej z przypisywaną mu wartością, względnie jego proveniencją. Albo jeszcze inaczej, mogło się kryć w jego wartości symbolicznej w oczach tych ludzi, którzy prawdopodobnie ryzykowali życie, by przenieść teczkę, pudło, marynarski worek czy też jakiegokolwiek inne ochronne opakowanie, w którym obraz przewędrował całą tę drogę.

Na przykład ten drobny, starszawy mężczyzna, który przyniósł mi obraz, nie miał pewnie pojęcia, że w swojej dostawczej furgonetce wiezie bezcenne malowidło z siedemnastego wieku, własność Jej Królewskiej Mości. Nie wiem, czy był uczestnikiem akcji czy tylko zwykłym posłańcem. Przyjechał po południu, kiedy w zasadzie każdy mógł go zobaczyć. Zabłądził i musiał się zatrzymywać, by pytać o drogę do zatoczki Gortbreac. Dwa razy. Odegrał swoją rolę z większym zaangażowaniem, niż to było konieczne; powstał sobie z nadzieją w oczach, dopóki nie dałam mu dwóch funtów za fatygę.

Przesyłka w niczym nie przypominała bezcennego dzieła sztuki. To była po prostu zwykła, szara walizka. Ta walizka, o której następnego ranka nie omieszkałam napomknąć Kieranowi O'Mahoneyowi, ze starannie udawanym oburzeniem, że to jest właśnie ta, którą linie Aer Lingus nareszcie odnalazły, po tylu dniach. Da pan wiarę? Oni zapłacili temu facetowi całe pięćdziesiąt funtów tylko za to, żeby mi ją przywiózł. To istny cud, że im te samoloty nie pospadają, i tak dalej.

Przypuszczam, że ktoś, kto dostarczył walizkę do Cork, mógł uważać, że to transport broni albo narkotyków. Ale pewnie nigdy się nie dowiem, jak to się wszystko odbyło.

I mam to gdzieś. Obraz jest tutaj, a póki jest tutaj, należy do mnie. To moje narzędzie magii - to on przywiódł do mnie Mickeya i to on przyniesie zmiany narodowi irlandzkiemu.

Królowa Elżbieta I była o tyleż bardziej interesująca niż obecna monarchini, którą Mickey nieodmiennie, drwiąco nazywa Betty Windsor. Chociaż może, myśląc o tej pierwszej Elżbiecie, naprawdę myślę o Glendzie Jackson, którą ubóstwiam. Prawdopodobnie więcej ludzi oglądało Glendę Jackson w roli królowej w ramach telewizyjnego „Teatru arcydzieł” niż jej pierwowzór. W takim razie która z nich jest dla nas bardziej rzeczywista? Którą mamy na myśli, gdy mówimy: królowa Elżbieta?

Ciekawa jestem, czy królowej brakuje tego obrazu. Ciekawe, czy w ogóle wie, że zniknął. Bo może trzyma się ją w niewiedzy? Ciekawa jestem, czy jej zależy na jej obrazach, na tym obrazie. W końcu nie ma na nim żadnych psów. Zastanawiam się, całkiem poważnie, czy B.W. kiedykolwiek tak naprawdę przyjrzała się *Lekcji muzyki*. Ale możliwe, że ta kobieta zasługuje na więcej. Jeśli się postaram, to może wyobrazę ją sobie, jak prowadzi długie, fascynujące rozmowy na jego temat z, och, nie wiem, powiedzmy z Anthonyem Bluntem, kiedy jeszcze żył. Zanim go zdemaskowano.

Tak cudownie pisał o sztuce, ale teraz czytam go zawsze wyłącznie w kontekście tego, że przez te wszystkie lata był sowieckim szpiegiem; nie potrafię się przed tym ustrzec. Czy to coś zmienia w sposobie jego patrzenia na sztukę? Być może nie. Czy zmienia nasz odbiór Anthony'ego Blunta? A może być inaczej?

Twarz królowej widnieje na milionach monet i znaczków. Powielią się ją, przedstawia niczym jakieś dzieło sztuki, jako klasyczną grecką albo rzymską głowę. A tymczasem ta twarz na obrazie, na który teraz patrzę, ta „prywatna” twarz z uśmiechem zamyślenia, który tak właściwie nie jest uśmiechem, ta kobieta, od której technicznie jakże niesamowitym autentyzmem, która przymierza się do gry na swym instrumencie - wcale nie jest znana, w każdym razie nie powszechnie, nie odcisnęła się w tym ikonograficznym sensie na przeciętnym umyśle, nie jest ani trochę tak rzeczywista.

Może podchodziłabym do tego inaczej, gdybym była Angielką, ale uważam, że królowa nie zasługuje na to, by posiadać *Lekcję muzyki*. Niby dlaczego miałyby?

Królowa Elżbieta I nienawidziła Holendrów, nazywała ich „brzuchatymi maselnikami”. Król Jakub I też pewnie ich nie znosił - pierwszy hrabia Salisbury opowiadał o królewskiej małżonce, Annie, księżnej Danii, że nad towarzystwo żywych ludzi przedkładała swoje obrazy. Ale jeszcze w siedemnastym wieku król Karol I i inni członkowie monarszej rodziny chętnie pozwolili holenderskim malarzom do portretów. No i oczywiście nie wolno nam zapomnieć o holenderskim królu Anglii, Wilhelmie III Orańskim, który urodził się w Hadze i został sportretowany przez van Dycka (dynastia orańska wciąż panuje w Holandii). Tak naprawdę „Kłopoty” zaczęły się od Wilhelma, kiedy w 1690 roku, podczas bitwy nad Boyne, pokonał swojego katolickiego teścia, biednego starego króla Jakuba II.

To naprawdę fantastyczne, jak się tu zastanowić, że dla upamiętnienia tejże bitwy Anglicy nazwali pewien kwiat „słodkim Williamem”, podczas gdy Irlandczycy ochrztili chwast „śmierdzącym Willemem”.

Kiedy w 1762 roku Jerzy III, razem ze sporą kolekcją malarstwa holenderskiego, kupił *Lekcję muzyki*, przypisywano ją Fransowi van Mierisowi. Co z kolei oznacza, że ten Vermeer znalazł się w królewskich zbiorach przypadkowo. Zresztą gardzono nim aż do naszego wieku. Pewien dziewiętnastowieczny przewodnik po królewskiej galerii - mamy jego egzemplarz w bibliotece Fricka - opisuje ten wysublimowany, maleńki obraz jako „bardzo nieporadny i niegustowny, przedstawiający postać zanadto cofniętą w głąb”.

Och, ci utytułowani Brytyjczycy. Nawet kiedy nie potrafią docenić tego, co dobre i wartościowe, depczą i biorą w posiadanie. Ale nie tym razem. Choćby każdego 12 lipca nie wiadomo ilu oranżystów maszerowało w tych idiotycznych szarfach, nie wpłyną na to, co wiedzą i czują Irlandczycy. I zwycięstwo *Lekcji muzyki* będzie nasze.

31 STYCZANIA, WIETRZNIE, ZIMNO, POGODNIE

Dwa dni później. Tego ranka stało się coś nieoczekiwanego, co nie powinno było się zdarzyć.

Obudziłam się wcześnie, na długo przed wschodem słońca (które podczas tych krótkich, ciemnych miesięcy ukazuje się dopiero po ósmej), najpierw czytałam, potem zaczęłam robić sobie grzanek na późne śniadanie, co w kuchni w tej chacie stanowi proces nad wyraz skomplikowany - czasem mam wrażenie, że gotuję sobie nad ogniskiem. To mi nie przeszkadza, choć angażuje uwagę. Trzeba obrócić chleb i pamiętać, że ta druga strona rumieni się bardzo szybko, zwłaszcza jeśli to gruba pajda z ciemnego, irlandzkiego bochna.

Czytałam *Dowody winy* Johna Banville'a, które wyszperałam na lotnisku w Dublinie, zaraz po przylocie. O tej książce opowiedział mi kolega z Fricka, a zresztą i tak chciałam ją przeczytać. Wczoraj wieczorem i dziś rano pochłonęłam około dwóch trzecich; czułam się dość podminowana, gdy Mary stanęła w drzwiach. *Dowody winy* opowiadają o człowieku, który popełnia brutalne morderstwo, kradnąc obraz - holenderski portret, który z opisu sądząc, mógł być autorstwa Rembrandta albo Halsa, gdyż na jego punkcie ma obsesję. Czuję lęk, bo mam wrażenie, że to przesłanie wystosowane jakby specjalnie do mnie.

Kręciłam się bez celu po kuchni, kiedy usłyszałam głos pozdrawiającej mnie Mary Carew. Frontowe drzwi miałam uchylone, bo dzień był w miarę pogodny, rozświetlony odrobiną wodnistego słońca, a opiekacz trochę dymił, bo przypalił się w nim tłuszcz, który musiał widocznie prysnąć wczoraj z patelni, kiedy piekłam cudownie smakowitego wiejskiego kurczaka, najwspanialszego, jakiego w życiu jadłam.

W tym miejscu powinnam dodać, że przyglądałam się *Lekcji muzyki* w świetle wczesnego poranka i że nie schowałam jej z powrotem do walizki. Wiem, że to głupie, ale czasem nie potrafię się oprzeć - muszę jej pozwolić pobyc na otwartej przestrzeni, na powietrzu, jakby ona mogła oddychać, jakby obraz potrafił czuć, jakby potrafił cierpieć na klaustrofobię. (I za każdym razem, gdy ją oglądam, wyciągam szkło z ramy.) Innymi słowy, zostawiłam obraz ustawiony na krześle, w środkowym pokoju na górze.

- Dzień dobry, Patricio. Można? Przyniosłam ci ciepłych placków i słoiczek jeżynowej galaretki mojej roboty - zawołała Mary, wsuwając głowę przez drzwi. - Właściwie to są twoje jeżyny, jeszcze z września, albo raczej biednego starego Denny'ego, świeć Panie nad jego duszą. Wiesz, że najśodsze jeżyny w Gortbreac rosną właśnie tutaj, zaraz za twoim progiem? Denny przepadał za moją jeżynową galaretką. Stary łobuz lubił słodkie. - Wchodząc, zapukała we framugę drzwi kłykciami obleczonej w wełnianą rękawicę dłoni, jakby uprawomocniając wtargnięcie.

Zaprosiłam ją odruchowo - musiałam, bo już przestąpiła próg, rozglądała się po wnętrzu, już wyciągnęła w moją stronę bilet wstępu w postaci zawiązanej na supeł plastikowej torby ze sklepu

O'Mahoneya, z plackami i słoikiem w środku. Wzięłam od niej torbę, podziękowałam, ułożyłam wszystko na blacie i spytałam, czy napiłaby się herbaty, na co odparła, że nie miałaby nic przeciwko, czyli innymi słowy, powiedziała „tak” - wiem to na podstawie moich doświadczeń z Mickeyem.

Mary zdjęła swój antyczny, podgumowany kubrak, długi i przesiąknięty zielonym aromatem jak przystało na wieśniacze okrycie, które kiedyś zapewne należało do jej zmarłego męża, i zawiesiła go na haku za drzwiami, co mi uzmysłowiło, że bywała już w tej chacie. Siadła przy stole, rozglądając się powściągliwie, a ja tymczasem wyparzyłam dzbanek, odmierzyłam odpowiednią ilość herbaty i zalałam ją wrzątkiem z gwizdzącego czajnika, pozwoliwszy mu najpierw chwilę się pogotować - tego także nauczyłam się od Mickeya. Mary zauważyła, że to niezwykle, żeby jankeska potrafiła parzyć herbatę, na co odparłam, że nauczył mnie tego mój dziadek Irlandczyk (co raczej nie jest zgodne prawdą - Paddy nie przepadał za herbatą). I właśnie wtedy grzanka stanęła w ogniu.

Kiedy człowiek ma w kuchni pełno dymu, to tak już jakoś jest, że zanim zareaguje, przeżywa coś w rodzaju *déjà vu* - już kiedyś widział taki dym, ale nie zauważył go wtedy, tylko dopiero teraz. Widziałam szary dym unoszący się w powietrzu, zdążył już zgęstnieć niczym nagle atakująca mgła. Owinęłam dłoń starą ścierką do naczyń i wyciągnęłam kratkę do opiekania z pieca. Pokazały się płomienie, z otwartych drzwiczek piecyka buchnął jeszcze gęstszy dym. W ciągu kilku sekund udało mi się dojść do drzwi i cisnąć kratkę na zewnątrz, na ziemię, gdzie dwa płonące węgielki, które kiedyś były moją grzanką, w parę chwil zmieniły się w kupkę żaru.

- Och, Patricio, dzięki Bogu, że masz taki młodzieńczy refleks! - wydyszała za moimi plecami Mary, wachlując powietrze *Dowodami winy*, które przedtem leżały rozłożone grzbietem do góry, na blacie, przy którym zwykle piję poranną herbatę i jem swoją grzankę.

Wiem, że to dziwaczne, ale kiedy czytam coś naprawdę wciągającego - albo niepokojącego - to zdarza mi się przy tym stać.

- Spójrz tylko, biedna rączka oparzyła się.

We wnętrzu mojej lewej dłoni, w miejscu, gdzie skraj tacki do opiekania oparzył mnie przez cienką tkaninę ścierki, pojawiła się szeroka czerwona pręga - niczym wypalona linia życia. Przyglądałam się jej w otępieniu, zaczęła boleć.

- Musisz ją poleć zimną wodą, chodź, pójdziemy ją od razu wsadzić pod kran - powiedziała Mary, ujmując mnie za łokieć i prowadząc do zlewu.

Stałam tam przez kilka minut, trzymając rękę pod strumieniem zimnej wody. Mary spytała, czy mam tu gdzieś „przylepce”, ale nie zrozumiałam, o co jej chodzi. Myślałam, że chce mi nałożyć jakiś staroświecki okład. Zapytałam, lecz nie odpowiedziała. Wydawało mi się, że wciąż stoi tuż za mną - szum wody zagłuszył jej kroki na schodach.

- Czy przylepiec ma coś wspólnego z bandażem? - powtórzyłam. Odwróciłam się, żeby zakręcić wodę, i nie zobaczyłam jej. Nad moją głową zatrzeszczały deski. A potem usłyszałam, jak schodzi.

- Zawsze trzeba mieć w domu przylepce, Patricio - upomniała mnie, ostrożnie zstępując z ostatniego, stromego stopnia na nierówną betonową posadzkę. - Zobacz, wzięłam z szafki w korytarzu starą powłoczkę na poduszkę; i tak już by się na nic nie przydała. Potniemy ją na paski i owiniemy rękę, zanim kupisz przylepce u O'Mahoneya. I może jeszcze jakąś dobrą maść, żeby nie dopuścić do zakażenia. To ważne. Och, zaczęło puchnąć. Boli cię, skarbie?

Serce zaczęło mi walić jak młotem. Próbowałam coś wyjąkać w odpowiedzi. Ręka naprawdę bolała, ale paraliżował mnie lęk, że Mary widziała obraz. Usiłowałam wyobrazić sobie jej trasę na górze. Jeśli skręciła w prawo i poszła prosto do szafki przed moją sypialnią, gdzie znalazła poszewkę - powłoczkę - to mogła nic nie zauważyć. Ale Mary jest wścibska i podobnie jak większość mieszkańców wsi ciekawa, jak chałupa Denisa wygląda po odnowieniu. A domek jest bardzo mały, parę kroków w jedną stronę, parę kroków w drugą, i wszystko jak na dłoni.

- Patricio, aleś ty blada. Powinnaś usiąść. Słabo ci? - nagabywała mnie ostro.

Przysiadłyśmy na dwóch twardych drewnianych siedziskach (Nora nazywa je „krzesłami głupków”), przed wystyglým kominkiem w głównej izbie. Ogień wciąż mi gaśnie. Nie umiem podgarniać węgla na noc, chociaż Nora dwa razy próbowała mi pokazać, jak to się robi. Pojedynczy powiew z kominu zakręcił popiołem.

- Nie, chyba nic mi nie jest, Mary - starałam się mówić swoim normalnym głosem, cokolwiek by to miało znaczyć. Słowa zadźwięczały fałszywie, niczym kłamstwo. - Naprawdę nic mi się nie stało.

Trzymała powłoczkę na kolanach i darła ją na długie wąskie, białe paski, a kiedy skończyła, starannie owinęła nimi moją rękę. Końce związała w zgrabną kokardkę, mrużąc:

- Matthew Walker powinien trzymać przez jakiś czas.

- Kto?

- Matthew Walker, skarbie. To nazwa węzła. Jeden z ulubionych żeglarskich węzłów George'a. To węzeł, który robisz na końcu liny, z rozszczepionych pasem. Podczas wojny często go używałam przy bandażowaniu. Bo musisz wiedzieć, że prowadziłam ambulans. Musiałam się znać na bandażowaniu.

Przez krótką chwilę ta nowina wydawała się zaskakująca, ale po namyśle stwierdziłam, że nie ma w tym nic szczególnie dziwnego, biorąc pod uwagę jej wiek. Wprawdzie Irlandia zachowała neutralność (nie mogła przecież opowiedzieć się po tej samej stronie co Anglicy), ale Mary nie mieszkała tu wtedy.

- Byłaś na froncie?

- Och, nie, ja nie poszłam na wojnę, to wojna przyszła do mnie. Byłam w Londynie podczas nalotów. Dzięki Bogu, że to już przeszłość. Choć pewnie nietrudno i teraz wylecieć w powietrze, wystarczy, że człowiek się znajdzie w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Coś ci powiem:

wolałabym pojechać na autokarową wycieczkę do któregoś z tych arabskich krajów, gdzie się bez przerwy tłuką, niż tylko przestąpić próg Harrodsa.

Potrząsnęła głową niczym pies, którego drażni mucha. Wyglądała na zakłopotaną. A ja wciąż nie wiedziałam, co ona widziała podczas wyprawy na górę.

- No i jak, skarbie, jak tam ręka?

- Cóż, na pewno powędrujemy do wsi, ja i ten Matthew Walker. Kupię jakąś maść z antybiotykiem i przyłepce. Boli. Ale naprawdę nic mi nie jest. To nic takiego.

Mary już miała się odezwać, ale zrezygnowała. Uzmysłowiłam sobie, że nie chcę słyszeć od niej nawet słowa o obrazie - bałam się, że coś o nim powie - więc zaczęłam gadać jak najęta, żeby nie pozwolić jej mówić, żeby nie usłyszeć, że go widziała.

- Dziękuję ci, Mary. Z całego serca. Bardzo ci jestem wdzięczna, za ten opatrunek i w ogóle. Straszna ze mnie niezdara... Żeby tak spalić grzanekę... I w dodatku herbata ci wystygła. - Byłam rozdygotana, wciąż miałam nadzieję, że mi się upiekło, że tylko mało brakowało...

- Plasty? Wy, jankesi, tak je nazywacie, prawda? - Mary bezskutecznie próbowała naśladować amerykańską wymowę.

Roześmiałyśmy się obie, po czym Mary poszła do kuchni, żeby nastawić czajnik na świeżą herbatę, nalegając, bym nie wstawiała z krzesła, tylko siedziała tak, przy wygasłym ogniu.

Przypomniłam mi się Mickey, nasze wspólne chwile w Nowym Jorku, nasze rozmowy, gdy wciąż się potykaliśmy o wsuwki i spinki do włosów, myjki i gąbki, chodniki i trotuary, nabrzeża i plaże, kolejki i ogonki.

Kiedy pewnej nocy, w łóżku, Mickey wyciągnął rękę i odgarnął mi włosy z czoła, mówiąc, że powinnam zrobić sobie grzywkę, roześmiałam się, bo wyobraziłam sobie koński łeb. Ale chwilę później jego z kolei rozbawiły „pazurki”; śmiał się do utraty tchu, „jak głupi do sera”, jak sam powiedział, a ja nie potrafiłam go przekonać, że w tym określeniu jest dużo wdzięku.

Te myśli o Mickeyu sprawiły, że za nim zatęskniłam, ale potem znowu zaczęłam się bać. Będzie zły, jeśli Mary zobaczyła obraz. Chyba nigdy dotąd nie był na mnie zły. Nie wiem, co zrobi. Co on zrobi? Co ona widziała?

- Masz tam na górze coś bardzo pięknego, Patricio - cicho powiedziała Mary. Stała na progu izby, wycierała kubek okopconą ściereczką.

Miałam wrażenie, że to nie są jej słowa, tylko że to myśl rozbrzmiewająca w mojej głowie, bo tak cicho mówiła.

- Widzisz, kiedy skończyłam osiemnaście lat, zostałam przedstawiona na dworze - ciągnęła zniżonym głosem, jakby opowiadała mi jakąś kojącą bajkę na dobranoc. - Mój wujek, brat mojej matki, lord Samuel Swift, był ministrem skarbu. Pewnie nigdy o nim nie słyszałaś. Do końca życia nie zapomnę tego dnia. Wszystko tam było takie wytworne. Ci gwardziści w uniformach. Naprawdę same

wspaniałości. Herbata w maciupenkich, najcieńszych filiżankach, jakie możesz sobie wyobrazić, zupełnie jak płatki kwiatów. Obrazy na ścianach...

Patrzyłyśmy na siebie. Wyglądała na... rozczarowaną. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, za kogo mnie w tym momencie uważała, jakie myśli mi przypisywała. O czym ja właściwie myślałam? Że zniszczyłam coś ważnego. Że wszystko jest zagrożone z powodu mojego niedbalstwa.

Próbowałam coś wyjąkać, jakoś to wszystko uzasadnić, podać jakieś nieprawdopodobne wyjaśnienie, które zmieniliby jej odczucia, ale Mary przerwała mi, unikając mojego wzroku, wpatrzona we własne stopy.

- Przestań - powiedziała szorstko. - Nie musisz się z niczego tłumaczyć. To nie moja sprawa, co ty tam masz w tym pokoju i skąd to się tam wzięło. Żyjąc w zakątku tego kraju już tyle lat, nauczyłam się, że należy trzymać język za zębami. Niczego mi nie mów, to niczego nie będę wiedziała.

Poszła z powrotem do kuchni, słyszałam, jak zaparza herbatę. Po chwili wróciła z pełnym po brzegi kubkiem, po czym wsunęła mi go delikatnie w prawą dłoń.

- Dolałam mleka, dosłownie kropelkę. Pij, póki gorące, Patricio, to cię uspokoi. - Nie patrzyła na mnie, kiedy mówiła, wciąż odwracała wzrok. - Mam nadzieję, że zajmiesz się tym oparzeniem. Zrobisz to, skarbie? Daj mi znać, jeżeli będziesz czegoś potrzebowała. Pójdę już, jeśli nie masz nic przeciwko. Nie, nie, nie wstawaj.

Zabrała swój kubrak i wyszła, nie czekając, aż ją odprowadzę.

Poszłam na spacer. Nie wiedziałam, co jeszcze mogę zrobić, a poza tym naprawdę potrzebowałam tych przylepców czy czegoś tam na oparzenie, więc owinęłam obraz i schowałam go do walizki, którą z kolei ukryłam w szafce, i wszystko skrupulatnie pozamykałam na klucze, a potem zesłam na dół, do wsi. Słońce świeciło blado, cytrynowo, jakby zbyt jarzeniowo jak na tę porę. Po drodze spotkałam Norę z jej krowami. Wsunęłam rękę do kieszeni, żeby uniknąć rozmowy na ten temat.

- Znowu ta fałszywa wiosna - ostrzegła, bez wyraźnego powodu szturchając kijem ubłocony krowi zad. - W ogóle pani nie wierz w tę pogodę. Pod koniec tygodnia będzie wichura. A my na piątek mamy umówionego człowieka od sztucznej.

Nie wiedziałam, kto to jest człowiek od sztucznej, więc wyjaśniła, że chodzi o sztuczną inseminację jej krów.

- To one się nie cielą na wiosnę? - Ręka mi pulsowała. Od razu pożałowałam, że zadałam pytanie, bo teraz będę musiała wysłuchać odpowiedzi.

- Tak to jest w naturze, ale ze sztuczną inseminacją jest inaczej. Hugh O'Keeffe'owi już tydzień temu, w niedzielę, urodziły się dwa cielaki. Teraz można zapładniać przez cały okrągły rok. I tak jest bardziej poręczniej, bo można wszystko rozłożyć w czasie. Jedno cielę tu, drugie tam, zamiast wszystkie naraz. I nie trzeba się paprać z bykiem.

To wszystko takie nowoczesne. Jakby to od kobit zależało, to połowa kraju też by tak rodziła, nie byłoby więcej tego paprania.

Wracając z paczką przyklepców i tubką maści odkażającej, przeznaczonej zapewne dla żywego inwentarza, usiłowałam uporządkować myśli. Bolała mnie głowa. Żałowałam, że nie kupiłam aspiryny. Co czułam? Nie wiedziałam. W normalnych okolicznościach nie bardzo potrafię określić, co czuję, a teraz przygniatały mnie strach i poczucie winy. Jak mogłam być tak nieostrożna?

Pan O'Mahoney był bardzo zaintrygowany moją ręką i moimi zakupami, ale nie zapytał wprost, a ja zbywałam jego gambity wzruszeniami ramion i roztargnionymi monosylabicznymi odpowiedziami. Pete nazywa coś takiego „podejmowaniem wątku rozmowy i chowaniem go sobie do kieszeni”.

Długi marsz tam i z powrotem wyjątkowo mnie zmęczył. Czułam nieodparte pragnienie, by wpełznąć do łóżka i zdrzemnąć się. Dzielne światło przygasało z wolna, chmury nie wiedzieć kiedy zbiły się w jedno na ołowianym niebie. Było mi zimno. Zerwał się chłodny wiatr, którego nie było, kiedy wychodziłam z chaty, bo w takim razie włożyłabym na sweter grubszą kurtkę. Zrobiło się szaro. Na widok chaty poczułam ulgę.

Miałam problem z otwarciem drzwi - coś się zacinało w zamku - a gdy kolejny raz próbowałam przekręcić klucz, gałka obróciła się i drzwi otworzyły się od środka.

Ktoś tam był.

Ogarnęło mnie przerażenie.

A potem usłyszałam śmiech Mickeya.

Kiedy mnie objął, zaczęłam płakać. Tak mi strasznie ulżyło, że on tu jest, a zarazem poczułam, jak bardzo byłam samotna aż do tej chwili.

- No, jak się trzymasz? - spytał kpiarskim tonem Mickey, na chwilę odsuwając mnie na odległość ramienia i omiatając wzrokiem od stóp do głów. - Już prawie niczym się nie różnisz od tubylców - stwierdził, przypatrując się moim niezbyt czystym włosom, butom pokrytym skorupą błota i całej reszcie, okutanej w wełnę i flanelę.

Długo się tak obejmowaliśmy, nic nie mówiąc, po prostu stojąc, zastygli w miejscu. Ledwie potrafiłam uwierzyć, że on tu jest - bo to było takie paradoksalne, że we frontowej izbie tej chaty, w odległości zaledwie kilku mil od rodzinnej wsi, wydawał się za duży, nie z tej skali, nie na miejscu. Wyglądał na zmęczonego, wyczerpanego. Starszego. Dotknęłam jego twarzy, a on ujął moją w dłoń i przypatrywał mi się w skupieniu. Więc tak to jest, gdy cię znają.

Chwilę później, znowu mnie obejmując, Mickey mruzczał mi we włosy:

- Ten pieczony kurczak był genialny. Zjadłem go całego. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. Od paru dni nie jadłem nic porządnego. I mało spałem.

- Och, Mix, będę ci gotować porządne jedzenie. Gdzieś ty był? Co robiłeś? Co się dzieje?

Milczenie.

- Mickey, do cholery! - rzuciłam ze złością, uwalniając się z jego objęć. Po tej rozłące wciąż nie mogliśmy się zsynchronizować, na powrót połączyć. - Zresztą nie ma sprawy, nie mów, gdzie byłeś. Nie mów, co się dzieje. To oczywiste, nie jestem godna zaufania.

- Patricio...

- No co?

- Przepraszam. Ostatnie trzy noce spędziłem w jakiejś zafajdanej szopie, cztery mile stąd, nie było mi specjalnie wygodnie, no i mam kupę spraw na głowie.

Znowu go przytuliłam, z poczuciem winy za swoje stosunkowe wygody i przywileje - i brak odpowiedzialności za to, że przypieram go do muru.

- Tylko proszę, nie poganiaj mnie, Patricio. Oboje jesteśmy trochę spięci.

- Paddy, kiedy był nie w humorze, mówił zawsze, że jest nerwowy jak kot z długim ogonem w pokoju pełnym bujanych foteli.

Mickey parsknął i przytulił mnie mocniej. Nagle strasznie go zapragnęłam, przez tę naszą sprzeczkę, przez to, że zobaczyłam go tak nieoczekiwanie. Pocałowaliśmy się, przelotnie, a potem jeszcze raz, bardziej poważnie, badawczo.

- Brakowało mi tej twojej ciepłej cipki - szepnął i wtedy wszystko we mnie stopniało.

Wsunęłam mu ręce pod koszulę, a potem w spodnie. Dłonie Mickeya coraz niecierpliwiej zapuszczały się pod moje koszule, swetry, legginsy i dżinsy, aż wreszcie przerwał pocałunek i zawołał:

- Dobry Jezu, Patricio, w ogóle cię nie mogę znaleźć pod tymi derkami!

Potem poszliśmy do łóżka, rozbierając się już na schodach.

Ocknęłam się właśnie z najgłębszego ze snów. Jest noc, prawdopodobnie obudziło mnie miarowe bębnienie deszczu. Jestem głodna i zmarzły mi ramiona. Okryłam Mickeya, który spał snem tak głębokim jak te, co snują się na samym dnie morza (dwudziestu tysięcy mil podwodnej żeglugi), snem śmiertelnie wyczerpanego, nieodróżnialnym od śpiączki. Siedzę teraz przy stole w kuchni, piję herbatę, jem jajko na twardo i placki, które przyniosła Mary - nie jadłam przecież kolacji - i staram się pozbiierać myśli.

Sama nie wiem, jaką właściwie przyszłość wyobrażam sobie z Mickeyem. Nie wiem, na czym stoimy. Łączy nas silna więź, ale być może w świecie rzeczywistym nie ma na nią miejsca. Wiem to. Ale przez ostatnich parę godzin byliśmy razem w naszym własnym świecie, gdzie słowa się nie liczą, gdzie nie ma polityki, gdzie nie ma nic oprócz całej tej prostoty i całej tej wspaniałości pierwotnego związku między mężczyzną i kobietą. Nawet się dobrze nie znamy, a jednak w takich chwilach znamy się na wylot i nawet jeśli nie są mi dostępne wszystkie te ułamkowe prawdy o szczegółach minionych kilku tygodni, to jednak znam większą, potężniejszą prawdę spotkania, kiedy moje ciało zetknęło się z ciałem Mickeya, a mój umysł z jego umysłem. I było w tym zetknięciu coś rzadkiego i doskonałego.

Wiem, rano będę musiała powiedzieć Mickeyowi, że Mary widziała obraz. Czas, który spędziłam tu samotnie, był łańcuchem prostych chwil. Wszystko błyskawicznie się skomplikowało, gdy tylko pojawił się Mickey. Na przykład ta księga rachunkowa - nie chcę, żeby ją znalazł, więc będę musiała się do niej zakradać, a tego nie lubię. Ulżyło mi, że on jest tu nareszcie, ale chyba brakuje mi mojej samotności.

Siedziałam przed obrazem prawie godzinę. Zrobiło się późno. Zastanawiałam się, co takiego jest w tych holenderskich wnętrzach, co zawsze mnie do nich przyciągało, już od dzieciństwa: poczucie bezpieczeństwa, stanowczość, ścisłość, szczegół, zamiłowanie do porządku, celebrowanie codzienności. Coś, co Cartier-Bresson nazwał wartością każdej chwili. Obraz sprawia wrażenie, że przekazuje nam wiedzę, informację, piękną informację. A przecież Vermeerowi nigdy nie chodziło tylko o treść. Pragnął uchwycić to, co widzialne - a więc odcienie, a więc nie pozór, lecz byt gobelinu rozłożonego na stole. Malował dynamikę, sposób, w jaki światło rozlewa się klinem na krawędziach oglądanych rzeczy, a nie tylko te rzeczy. Malował sposób, w jaki widzimy, nie tylko to, co widzimy.

Zawsze chciałam mieszkać w tych pokojach. Tutaj, na tym dzikim wybrzeżu, wreszcie się to stało. Zmarnowałam tyle czasu, żyjąc życiem, które nazwać można tylko przybliżeniem życia, kopia życia. Za to tutaj jestem naprawdę obecna, naprawdę żywa.

Kiedy pisałam pracę dyplomową, natrafiłam na znakomity cytat z Henry'ego Jamesa, komentarz do jego podróży po Holandii: „Gdy patrzysz na rzeczy, to jakbyś oglądał obrazy. A kiedy oglądasz obrazy, to jakbyś patrzył na rzeczy. Co to właściwie jest: brzeg kanału w Haarlemie czy jakiś van der Weyden...? Służące na ulicach tak wyglądają, jakby zeszły z płócien Gerarda Dou i jakby bez trudu mogły na nie wrócić”.

Nigdy nie poznam tej kobiety - nie dowiem się, jakie imię nosi, jaką melodię zagra. Nie wiem, jakie lubi potrawy, nie wiem, czy ma dzieci. Ona milczy. Za to dowiedziałam się już, co uosabia. I jestem jej wdzięczna za tę lekcję, za to, czego nauczyła mnie o konsekwencji, o stałości. Dzięki niej poznałam siebie i zaczynam też nieco lepiej rozumieć świat. Jeszcze tylko muszę odkryć jakiś sposób, który pozwoli mi zamieszkać we własnych pokojach. Powoli poznaję nie tylko swoje silne, ale i słabe strony. Niektóre spośród tych pierwszych okazały się tymi drugimi.

Nie wiem, jak długo jeszcze będę ją miała dla siebie. Jest tutaj Mickey, więc domyślałam się, że cieszę się tym przywilejem, luksusem tej osobliwej komunii po raz ostatni. Będzie mi strasznie smutno, gdy będę musiała ją oddać. Życie wydaje się czasami jedną wielką stratą, od pierwszej do ostatniej chwili. To aksjomat. Jak zareagować na te straty, co robić z tym, co zostaje - tego trzeba się uczyć w marszu.

1 LUTEGO, BARDZO CIEMNO

Dziś rano Mary Carew znaleziono martwą. Leżała w swoim kurniku, wśród kurzego nawozu, z głową obok garnka z karmą dla niosek. Znalazł ją przypadkiem Hugh O'Keeffe, rolnik z sąsiedztwa, który akurat wybrał się na poranny spacer z nowym psem myśliwskim (krótkowłosym niemieckim pointerem o groźnym pysku) i zajrzał do kurnika, żeby sprawdzić, dlaczego kury Mary robią taki harmider - myślał, że podnoszą alarm, bo zakradł się tam jakiś pies albo lis. Wszystkie kury siedziały zbite w gromadę po drugiej stronie kurnika, na grzędzie zrobionej ze starej ławy. Mary wyjaśniła mi kiedyś, że ta ława stała dawniej w jej kuchni, ale kilka lat temu wstawiła tam meble z laminatu. Ludzie mówią, że to serce. Od dawna chorowała na serce. Mary miała siedemdziesiąt dziewięć lat - piękny wiek.

To Nora zastukała do moich drzwi dzisiaj o świcie, żeby przekazać mi te straszne wieści. Była okropnie poruszona, paplała jak karabin maszynowy o planowanym czuwaniu przy zwłokach Mary, o pogrzebie, o tym, o co prosił ją bratanek Mary z Union Hall, nieprzerwanie kręcąc dłońmi młynka w rytm swoich słów. W końcu spuściła wzrok i wykrzyknęła: „Och, co ja robię, robię na drutach bez wełny!”, i z tym pognęła doić krowy.

Mickey spał jeszcze. Byłam przybita i zdenerwowana.

Stałam w otwartych drzwiach, przytrzymując szlafrok okrywający moją nagość. Bałam się, że on mnie zawoła albo zejdzie na dół, gdy Nora jeszcze tu będzie. Nie wiedziałam, jak Mickey chciałby wytłumaczyć swoją obecność albo czy przypadkiem jego obecność tutaj nie ma pozostać tajemnicą.

Gdy straszne słowa Nory oblały mój mózg niczym lodowata woda, zrozumiałam, że nie mam pojęcia, jak długo Mickey zamierza zostać. Niewiele rozmawialiśmy od czasu, gdy zeszłej nocy poszliśmy na górę. Informacje, którymi się wymienialiśmy, nie dotyczyły najbliższych planów.

Nora spytała, czy będę mogła uczestniczyć w nocnym czuwaniu przy zwłokach Mary. Wygląda na to, że ów bratanek powierzył Norze przygotowania. Obie byłyśmy tak zmartwione, że trudno mi było ją zrozumieć, ale domyśliłam się, że to czwanie odbędzie się dzisiaj, w chacie Mary, a jutro, na cmentarzu przy protestanckim kościele w Clonakilty, zostanie odprawione nabożeństwo żałobne i pogrzeb. Mary spocznie obok George'a Carew, który śpi samotnie w ich podwójnym grobie od 1944 roku. Drżą mi ręce, kiedy to piszę. Nie umiem się z tym pogodzić.

Zaraz przestanę, schowam księgę, potem zrobię śniadanie dla Mickeya i obudzę go, jeśli nie uprzedzi mnie zapach bekonu i jajek. Musimy porozmawiać.

Dręczy mnie strach, że Mary umarła z mojej winy. Czy ja tracę rozum? Co się dzieje? No tak, oplakuję śmierć starszej pani, którą znałam tak krótko. Tylko skąd to uczucie, że oplakuję coś, co ma dla mojego życia o wiele większe znaczenie?

3 LUTEGO, WSZELKIE WARIACJE POGODY

Jestem idiotką. Naiwną idiotką. Dwa dni, a tyle zaszło. To będzie mój ostatni zapis w tej księdze rachunkowej. Mogę się tylko postarać odtworzyć przebieg zdarzeń, może jakoś mi się uda.

Jajka na bekonie były już gotowe, gdy Mickey pojawił się u dołu schodów, ubrany tak jak poprzedniego dnia. Przestraszył mnie - akurat wyciągałam mleko z małej lodówki pod blatem. On jest zupełnie jak kot, zakrada się i wymyka. Musiało już być około dziewiątej.

Uśmiechnął się szeroko na widok - czego, mnie czy jedzenia? - po czym stanął za moimi plecami, żeby mnie objąć, kiedy wyprostowałam się z kartonem mleka w rękę. Nalałam mu kawę zza jego ramion, po czym usiedliśmy przy stole; Mickey pochłonął całe swoje śniadanie i prawie całe moje. Nie byłam głodna. O mały włos znowu nie spaliłam grzanki, ale Mickey podniósł głowę znad talerza, pociągnął nosem i powiedział, że chyba coś się przypala, więc poderwałam się z miejsca i dopadłam do kuchenki w ostatniej chwili - nawet nie trzeba było jej oskrobywać. Tak się czułam, jakbym odgrywała rolę w jakimś przedstawieniu. Słowa przychodziły mi do głowy, a potem gęstniały w gardle. Dlaczego nie zauważyłam, że coś jest nie tak?

- Jest może jakiś dżem? - spytał z nadzieją, przechylając się przez stół, żeby kawałkiem grzanki zetrzeć resztkę żółtka z mojego talerza.

Bez słowa sięgnęłam po jeżynową galaretkę Mary; czekała spokojnie w słoiku, wciąż nieświadoma tego, co się stało. Ostrożnie postawiłam słoik przed Mickeyem, czując, jak z piersi wyrywa mi się skowyt rozpacz, po czym więźnie w otchłani gardła.

Mickey podniósł wzrok i wtedy spojrzeliśmy sobie w oczy. Nie znałam go. Nie znałam tego mężczyzny siedzącego przy moim stole, mimo że między nogami miałam zaschłe płamki jego nasienia. Złapał mnie za nadgarstek, za tę poparzoną dłoń owiniętą bandażem. Stałam tak, patrzyłam na niego z góry. W kąciu ust miał resztki jajka. Przeważenie przemieszane z nadzieją, które owładnęło mną na długą chwilę, stężało w okropną, lodowatą rozpacz.

- Zrozum, musieliśmy - powiedział tak łagodnie, tak delikatnie, tak rozważnie.

To już wiedziałam.

- Dlaczego?

- Och, Patricio, nie bądź naiwna. Dlaczego? Bo inaczej powiedziałyby komuś. Popsułyby nam wszystko, nieważne, czyją trzymała stronę. Życie kilku osób byłoby zagrożone, w tym również twoje.

Zdaje się, że wytrzeszczyłam oczy. A Mickey ciągnął:

- Naprawdę żałuję. Nie myślałem, że będzie jakaś mokra robota, zwłaszcza że udało się dowieść obraz aż tutaj i to bez przeszkód. Naprawdę tego żałuję. A ty musisz bardziej uważać, Patricio.

Czułam ryk tętna we własnej głowie. Było mi zimno, gorąco, czułam się chora. Razem z jego słowami w moich wnętrznościach wzbierała fala wymiotów. Mickey był kimś, kogo sobie wymyśliłam

dla własnych potrzeb. Tak naprawdę nigdy nie istniał, to było teraz oczywiste. Za to prawdziwy był Michael O'Driscoll z Rosscarbery, który tu siedział przede mną.

- Skąd w ogóle wiedziałeś, że ona widziała obraz? - Miałam wrażenie, że to jakieś szaleństwo, ta rozmowa, dyskusowanie o czymś tak koszmarnym przy śniadaniu. Osunęłam się z powrotem na krzesło, bo już nie byłam w stanie stać ani chwili dłużej. Odwróciłam krzesło od stołu, żeby nie patrzeć wprost na Mickeya. Mary zapewne też nie mogła na mnie patrzeć wczorajszego ranka.

Machnął ręką w powietrzu, powiódł nią dookoła pokoju, pokazując... co? Nagle zrozumiałam.

- Tu jest podsłuch? Ty mnie podsłuchiwałeś? Mickey wzruszył ramionami i posmarował masłem następną grzanekę.

- Rutynowe środki ostrożności - rzucił beztrosko. - Nie bierz tego do siebie. Nawiasem mówiąc, jesteś cudowna, kiedy śpiewasz w wannie. - Zagwizdał parę taktów z *King of the Road*.

Nie mógł mnie bardziej upokorzyć.

- Nie wierzę. - Bóg jeden wie, kto słuchał nas właśnie w tej chwili. Miałam wrażenie, że coś mi pełźnie po plecach i ramionach. Mrowienie strachu.

- Słuchaj, naprawdę cię przepraszam - powiedział Mickey z wyraźnym zniecierpliwieniem. - Trochę się dałaś nabrać, ale wyliżesz rany i będziesz mówiła, że jestem gównem na patyku. I będziesz miała prawo. Tylko uporaj się z tym jak najszybciej, bo teraz mamy na głowie ważniejszą sprawę.

- Nie. Czekaj. - Słyszałam własny głos rozlegający się poza moją głowę, jakby należał do kogoś innego. - Musisz mi coś wyjaśnić i to zaraz, natychmiast. Skinął głową, czekając na dalszy ciąg.

- Mickey, kim ty jesteś? Jaka jest prawda? Co z... nami? A ta ostatnia noc? Czy coś z tego wszystkiego miało dla ciebie jakieś znaczenie, czy było tylko częścią planu? - Brzydziłam się tym błagalnym tonem, tymi banałami. Nie mogłam znieść myśli, że współnicy Mickeya tego słuchają.

- Nie wydurniaj się, Patricio - rzucił. - Nie, zaczekaj... wysłuchaj mnie.

Zaczęłam wstawać od stołu.

- Pytasz, jaka jest prawda. No to ci odpowiem. Ten plan to prawda - mówił powoli, widziałam, że starannie dobiera słowa. - Odwet, zadośćuczynienie za wyrządzone krzywdy, dla mnie tylko to jest naprawdę rzeczywiste. Bardzo cię polubiłem, mimo że tego wcale nie planowałem. Tak więc to jest prawda. Świetnie się razem dotarliśmy. Wcale mi to nie było potrzebne, mimo że byłem dość samotny, a potem zjawiałaś się...

- Ale jak? Skąd ja się właściwie wzięłam? - Nigdy wcześniej go o to nie wypytywałam, chociaż powiedział mi na samym początku, że wybrano mnie jako kandydatkę do nawiązania kontaktu, bo z moją wiedzą o sztuce i proirlandzkimi sympatiami znakomicie spełniałam wszystkie kryteria. Dlaczego nie wypytałam go dokładniej, zanim się w to wpakowałam, całkiem na ślepo? Chyba zwariowałam. Pomyliłam przeznaczenie z przemocą i nienawiścią.

- Wytypowano twoje nazwisko.

- I już? Wytypowano moje nazwisko? Gdzie? W jakimś bunkrze IRA, gdzieś w Derry? Co właściwie przez to rozumiesz?

- Patricio, kiedy ty się nauczysz podstawowych zasad? Nie musisz tego wiedzieć, więc ci nie powiem. Niech ci wystarczy, że ktoś, kto bywał regularnie u Foleya, zaproponował Patricię Dolan jako doskonałą kandydatkę do tego zadania. Zresztą rzeczywiście świetnie się spisywałaś, aż do teraz.

- U Foleya? U tego Foleya? Z South End? U Pete'a Foleya?

Mickey popatrzył na mnie z pobłażliwym uśmiechem. Wyciągnął rękę i poklepał mnie po grzbiecie mojej zabandażowanej dłoni.

- Widzisz, do czego to prowadzi, jak się wie za dużo? Tylko do kłopotów, bo zastanawiasz się nad rzeczami, o których nie powinnaś myśleć.

Wyrwałam rękę, a wtedy rzucił się przez stół, chwycił mnie za nadgarstek i walnął moją dłońią o blat. Piekący ból był znacznie mniej dotkliwy niż gorycz wiedzy, że Mickey chciał mi go zadać. Walczyłam z łzami, nienawidząc ich, nienawidząc Mickeya.

- Słuchaj no! - syknął przez zaciśnięte zęby. - Pomysł, żeby cię włączyć, wyszedł od takiego starszego faceta, który robił dla nas różne rzeczy, to tu, to tam. Ten facet nazywa się Jimmy Leary. Zadowolona? Wiesz teraz trochę więcej. I coś to zmienia?

- Jimmy Leary? Dawny przyjaciel Pete'a z jednostki? Ten Jimmy Leary, który uczył mnie prowadzić? O Boże!

- Możemy na tym zakończyć? Mamy pilniejsze sprawy, Patricio.

- Nie, do cholery, nie możemy zakończyć. Teraz ty posłuchaj. Chcę wiedzieć, co się stało z Mary. I jeśli ta staruszka została zamordowana z mojego powodu, to idę na policję - rzuciłam, starając się za wszelką cenę znaleźć jakieś miejsce, gdzie mogłabym bezpiecznie wylądować, skacząc z tak przerażającej wysokości. - Zabijesz mnie, jeżeli powiem, że idę na policję? Nie, nie na policję, tylko do *gardai*, prawda? Tak ich tu nazywacie? W każdej chwili mogę się przejść do budki telefonicznej obok Nolanów. Coś ty zrobił? Kazałeś temu facetowi przebranemu za montera od telefonów, żeby skreślił jej kark? A ty tymczasem odwracałeś moją uwagę... To tego was uczą w IRA? - Czułam silne pulsowanie w dłoni.

- Patricio. - Głos Mickeya zabrzmiał oschle. - Spójrz na mnie.

Spojrzałam. W oczach miał chłód, którego nigdy dotąd, aż do tej chwili, nie widziałam. Przeraził mnie.

- Teraz ty posłuchaj. Słuchaj uważnie, co ci powiem. Pete Dolan. - Wymawiał słowa starannie, jakby czytał podpis pod fotografią. Głos miał stalowy, słowa były oszczędne i zimne, obrobione na tokarce okrucieństwa. - Pete Dolan, szczerzy irlandzki patriota, od lat sympatyk IRA. Emerytowany detektyw z Bostonu w stanie Massachusetts, Stany Zjednoczone Ameryki, facet, który tu i tam przyłożył rękę i język go nie świerzbił, żeby zadać chociaż jedno pytanie, bo jest patriotą i to mu wystarcza.

Nietrudno zgadnąć, że przez lata służby w policji, lata chronienia obywateli Bostonu przed przemocą i zbrodnią, twój stary dorobił się wielu wrogów. A teraz wyobraź sobie ten tłumek drobnych zabójców i złodziejasków, którzy dostali wyroki dzięki staraniom Pete'a Dolana. Musi ich być na kopy. Ci ludzie mają długą pamięć i puste kieszenie, Patricio. Takim jak oni niewiele trzeba, by ich podjudzić. Więc już ani słowa na ten temat, dobrze?

- Nie zrobiłbyś tego.

- Ty byś tego nie zrobiła.

Na długą chwilę zapadła cisza, podczas której moje popękane serce rozpadało się na dobre.

- A teraz do rzeczy. Sprawy nic idą, jak chcieliśmy, Patricio. Skup się i słuchaj mnie jeszcze przez chwilę. - W ciągu ostatnich kilku minut akcent Mickeya zdołał zgęstnieć niczym owsianka. - To jednak nie jest tak jak splunął. Odrzucili nasze żądania. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Niezupełnie. Pałac Buckingham nie chce wam zapłacić?

- Cholerny pałac Buckingham nie chce nawet przyznać, że zaginął im obraz. Znów powiesili *Lekcję muzyki* na ścianie. - Akcentował swoje słowa uderzeniami pięści, od których podskakiwały naczynia.

- To niemożliwe.

- A czemu by nie? Ty sama, wielka ekspertka od sztuki, wymyśliłaś, żeby użyć kopii. Myślisz, że tylko ty jedna masz takie pomysły? Widać nie.

- Wieszają naszą kopię? Przecież nie była najlepsza.

- A dla mnie ta nasza podróba wyglądała całkiem prawdziwie, nie widziałem żadnych różnic. Dostatecznie prawdziwa, żeby odwalić robotę. Nie, to nie tak. Nasza wtyka, nasz człowiek w pałacu, który dwanaście lat temu zaczynał od sprzątanania w kuchni, a teraz dochrapał się posady lokaja, mówi, że to kopia z dziewiętnastego wieku, jak na to wychodzi całkiem niezła. Mają nas gdzieś, pokonają nas naszą własną bronią. Betty Windsor nawet się nie pokapowała. Powiesili toto w najciemniejszym kącie, w prywatnych komnatach. Powiedzieli, że obraz był w czyszczeniu i może dlatego wygląda na jaśniejszy. - Mickey nie mówił, tylko wypluwał z siebie słowa, wyraźnie rozgoryczony.

- I co teraz?

Szczerze powiedziawszy, byłam rozczarowana, choć to głupio brzmiało po tym wszystkim, co się zdarzyło. Wciąż wierzyłam, że to, co robimy, ma jakiś sens, a poza tym martwił mnie los *Lekcji muzyki*. Jakoś nie chciało mi się wierzyć, żeby pozwolili mi ją po prostu zatrzymać, zabrać do domu. Wyobrażałam sobie, że ona wróci tam, gdzie jest jej miejsce, na tę ścianę w Londynie, a to, co przeszła, w ogóle jej nie zaszkodzi.

- Znowu to samo co z pieprzonym Gardnerem - mruknął Mickey, bujając się na krześle i czyszcząc paznokcie czubkiem noża do chleba.

Tym razem ogarnęło mnie prawdziwe zdumienie, mimo tego wszystkiego, co dotąd usłyszałam.

- Byłeś zamieszany w kradzież z muzeum Gardner? To IRA zabrała te obrazy w dziewięćdziesiątym? Ci mężczyźni w policyjnych mundurach byli z IRA? Gdzie są teraz te płótna? Co się z nimi stało?

- A kto tu mówi o jakiejś IRA, laluniu? - spytał okrutnie prześmiewczym tonem Mickey. - Skąd ty sobie ubrdałaś, że IRA coś o tym wie? IRA jest teraz strasznie zajęta, bo daje się tresować przez tego twojego pana Adamsa.

- IRA - powtórzyłam oszołomiona. - Irlandzka Armia Republikańska. No dajże spokój, Mickey. Przestań. Przestań gadać jak kochanek lady Chatterley. IRA. Przecież tu chodzi o IRA? Przecież pracuję dla IRA, razem z tobą?

Roześmiał się.

- No, z paroma literami trafiłaś. Spróbuj tak: IROW. Irlandzka Republikańska Organizacja Wyzwoleńcza. To chłopaki, których się wzywa, gdy robota ma być naprawdę wykonana. Gazety nazywają nas odłamem. My nie robimy z siebie głupków, żeby tylko dostać jakieś stołki w parlamencie.

- Nie jesteś z IRA? Jesteś z IROW? Zsalutował mi z przesadnym rozmachem.

- Byłeś zamieszany w kradzież z muzeum Gardner? - Nie mogłam się z tym pogodzić, nie potrafiłam zmusić umysłu, żeby to przyjął do wiadomości.

- Ja osobiście nie - odparł Mickey. - Ale moi kumple tak. Ten twój Leary coś o tym wie. A Pete skołował jakieś zapasowe mundury i tarcze dla Leary'ego, chociaż nikt mu nigdy nie powiedział, kto ich potrzebuje i do czego. Ale na pewno czytał o tym w gazetach, więc musiał pokojarzyć. Twój stary nigdy ci o tym nie mówił?

Usiłowałam pozbierać myśli, ale mój mózg wpadł w poślizg. Pete? Naprawdę pracuje dla IRA, IROW czy cokolwiek to jest? Nie, za dużo tego, żeby to wszystko ogarnąć. Spadałam jak kamień, na łeb, na szyję.

- Nie, nie... nie miałam pojęcia. - Przyszło mi do głowy coś potwornego. - Czy ty i Pete znaliście się, zanim tam pojechaliśmy na święta? Czy to też było ukartowane?

- Niezupełnie. Mogłabyś raczej powiedzieć, że wiedzieliśmy o sobie. Twój ojciec to porządny facet.

- No więc co się stało z tymi obrazami z Gardner? - Byłam zupełnie skołowana, usiłowałam się trzymać najłatwiejszego do uchwycenia szczegółu w tym strumieniu koszmarnych odkryć. Zdrada to fizyczny cios zadany duszy.

- Wszystko się źle skończyło. Nie spodoba ci się ta historia, Patricio. Twoje bezcenne obrazy leżą zapewne na dnie morza.

- Co się stało?

- No tak, zostałaś właśnie amatorką wielkich kradzieży dzieł sztuki... A co tam, chyba mogę ci spokojnie powiedzieć, co wiem, zresztą zasłużyłaś na jakąś nagrodę. No więc sprawa miała się tak:

Declan McGlinchey i jego chłopaki kierowali wszystkim stąd właśnie. To był następny dzień po świętym Patryku. Nie znam wszystkich detali, ale wiem, że mieli nagrany trawler, który łowił legalnie koło Gloucester. Nasi ludzie robili za załogę, paru z nich pracowało kiedyś na tych wielkich trawlerach, które wypływają z Union Hall. Mówili, że na tych amerykańskich wodach całkiem nieźle się łowi, tyle że przez pół roku przeraźliwie tam zimno. Odwalili robotę i wypłynęli już daleko na morze, ale coś im się porypało, nabierali wody. Czekali jednak z wezwaniem pomocy przez radio, bo na dole, w ładowni, trzymali te wszystkie obrazy i wiedzieli, że będzie z nimi kiepsko, jeśli wpuszczą kogoś na pokład. Czekali, a potem już było za późno. Dlatego nawet nie mieli jak zażądać okupu. Nie wiadomo, z czym właściwie mieli kłopoty. Zniknęli, pewnie poszli prosto na dno.

- A twoim zdaniem, co się stało?

Wyobraziłam sobie *Koncert* na dnie morza. Jest tam w ogóle jakieś światło? Czy raczej panują egipskie ciemności? Dziwna była ta rozmowa z Mickeyem, teraz, jakbyśmy wciąż jeszcze byli razem. Jakbyśmy rozmawiali o filmie, który jedno z nas oglądało dawno temu.

- McGlinchey podejrzewał, że któryś z tych chłopaków mógł coś kombinować na boku. Może się pożarli albo to był sabotaż.

- A skąd wiecie, że ten kombinator nie wymordował pozostałych? Mógł zatopić łódź i zwiąć z obrazami szalupą.

- Wiesz co, Patricio? Naprawdę masz pomysłowy, przestępczy mózdzek - z podziwem stwierdził Mickey. - Masz rację, niektórzy myślą, że właśnie tak się stało.

Oczywiście to możliwe, że obrazów w ogóle nie było na tym trawlerze. Ale mogło też być właśnie tak: plan, szalupa i ktoś cholernie cierpliwy. Znam takiego faceta, który przysięga, że zna faceta, który z kolei zna faceta, który trzyma całą tę cholerną kolekcję w jakimś magazynie pod Bostonem. Ale chyba do tego czasu już byśmy coś o tym usłyszeli, nie uważasz?

- Może Declan usłyszał, ale nic ci nie powiedział - odparowałam. - Może to ciebie wykołegowali.

- To byłby niezły numer - odparł Mickey, z powrotem przygważdżając przednie nogi krzesła do podłogi. - Declana McGlincheya pochowali pół roku po tym, jak obrazy z Gardner poszły na dno. Zastrzelili go. Okupanci, oczywiście.

- Oczywiście - powtórzyłam, naśladując jego ton. Wciąż byłam zła, bo złość chroniła mnie przed strachem, przed rozpaczą.

- No więc wracając do naszego planu... - zaczął Mickey, uważnie mi się przypatrując.

- Naszego, Mickey?

- Słuchaj, wiem, że to dla ciebie trudne - powiedział, tym razem jakby przepraszająco. - Ale jeszcze z sobą nie skończyliśmy. A teraz do rzeczy. Chcemy nagłośnić tę kradzież. Damy znać stacjom telewizyjnym i gazetom. Zdemaskujemy te kłamliwe cioty z Buckingham. Nawet jeżeli nie dadzą nam

pieniędzy, coś nam jednak skapnie. Świat się dowie, że jesteśmy siłą, z którą trzeba się liczyć. To nie będzie zmarnowany wysiłek, widzisz? Wyciśniemy z tego, ile się da.

- Nie potrzebujesz mojej pomocy przy rozsyłaniu informacji dla prasy.

- O Jezu! Co ty, Patricia, nie rozumiesz? Nakręcimy amatorski film. Nakręcimy na wideo zniszczenie *Lekcji muzyki* i roześlemy kopie taśmy na cały świat. To będzie naprawdę fantastyczne. Nasza machina propagandowa zmierzy się z ich machiną. Ludzie nie lubią, jak się ich trzyma w nieświadomości. W końcu mówimy o lekcji. Posłuchają naszej melodii, zatańczą tak, jak im zagra nasz duziarz.

Wtedy naprawdę go nienawidziłam. Z całej duszy. Nienawidziłam go już wcześniej, za to, co stało się z Mary, za to, jaki się wydawał, za to, jaki się okazał, ale to już był szczyt. Wiedziałam, że kłopoty to nic dobrego, lecz teraz patrzyłam na wcielone zło.

- To teraz posłuchaj, czego od ciebie chcemy - ciągnął jak gdyby nigdy nic. Nie miał bladego pojęcia, kim jestem. Byliśmy parą, ja i Mickey. Wymyślił mnie tak, żebym mu pasowała. - Zamierzaliśmy go spalić, ale jeden z chłopaków mówi, że to nie będzie łatwe, że być może będzie się tylko tlił i dymił, że się zachowa jak zamoczona petarda. Czyli nie bardzo, żeby z tym do dziennika o szóstej. Co ty na to? Ty w końcu znasz się na farbach i w ogóle, może wiesz, jak on się będzie palił? Może trzeba go najpierw poleć benzyną? No, rozumiesz, żeby to był taki dramatyczny efekt?

Myślałam przez kilka minut. Myślałam o bardzo wielu sprawach, o tym, co miałam do wyboru. Mickey zawsze świetnie znosił milczenie. Czekał cierpliwie. Aż wreszcie wymyśliłam.

- Zamordujcie go - powiedziałam.

- To znaczy? - spytał podejrzliwie.

- Zabijcie go. Przecież macie tu gdzieś jakąś broń automatyczną, prawda? Czy może nie możecie mi tego powiedzieć?

Mickey przytaknął niezobowiązująco, powoli, z namysłem.

- Postawcie obraz pod ścianą, z aktualną gazetą obok, żeby było widać datę, a potem niech ktoś go rozwali na kawałki paroma seriami. To i tak w waszym stylu, prawda? Egzekucja. Będzie dobrze wyglądało na filmie. Brutalnie. Obraz przestanie istnieć, na oczach całego świata zamieni się w trociny.

Mickey spojrzał na mnie z uśmiechem uznania.

- Patricio, jesteś fantastyczna! Znowu presja, a ty jak zawsze zachowujesz poziom. Naprawdę wymyśliłaś co trzeba. Nie myśl, że nie doceniam.

Wiedziałam już, co trzeba zrobić. Wyniosłam to z *Lekcji muzyki*. Sztuka Vermeera tworzy artyzm wybredny, wysublimowany. Wyrasta z tego rodzaju geniuszu, który wzdraga się przed pochopnymi osądami. Trzeba zadać sobie pytanie, do czego jest się powołanym, jakie wymogi postawi przed nami przedmiot naszego powołania. Zaskoczenie musi być pełne.

Tego wieczoru poszłam na czuwanie do domu Mary. Nora powiedziała, że mam przyjść koło jedenastej. Było zimno, bezchmurnie i ciemno, za jedyne skąpe oświetlenie służył księżyc w nowiu.

Sama nie wiem, co ja robiłam przez resztę tego koszmarnego dnia. Mickey odbył kilka rozmów przez telefon komórkowy. Prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Był roztargniony, podekscytowany. Poszłam się zdrzemnąć, a gdy w którymś momencie się ocknęłam, dobiegły mnie z dołu męskie głosy, więc nie odważyłam się zejść. Na chwilę jeszcze zasnęłam, a potem był już wieczór. Gdy wreszcie zesłam na dół, Mickey się kąpał i oprócz niego w chacie nie było nikogo. Ława-skrzynia była otwarta - ktoś musiał spać na tym starym materacu. Wstawiłam do zlewu kilka brudnych filiżanek po herbacie. W jednej z nich były pety, pływały w niedopitej herbacie z mlekiem. Mickey - a może ktoś inny - podgrzał zupę pomidorową z puszki. Dla mnie śmierdziała wymiocinami. Usiadłam i czekałam, aż będzie pora, by już wyjść. Próbowałam dokończyć *Dowody winy*, ale mi się nie udało. Wciąż myślałam o *Lekcji muzyki*.

Wszystkie elementy tego obrazu zostały tak uwewnętrznione przez świadomość malarza, że ich spójność staje się nieomal namacalna. W ostatecznym rozrachunku docenić to arcydzieło Vermeera można tylko wówczas, gdy dojrzy się w nim świat pojęty jako dzieło myśli. Pograżona w kontemplacyjnym odosobnieniu kobieta unosi wzrok i jej spojrzenie obejmuje nas, prosząc o zajęcie miejsca, powołując nas do istnienia, do tego, abyśmy zobaczyli samych siebie.

Wyglądało na to, że Mickey zostanie w chacie. Powiedział, że pewnie nie wrócę do rana, skoro mam oplakiwać Mary. Ucieszyłam się - nie będzie kwestii, kto gdzie śpi. Tak się czułam, jakbym poruszała się pod wodą. Gdy już podchodziłam do drzwi, okutana na czekającą mnie drogę przez chłód i mrok do domu Mary, Mickey ruszył za mną i ujął mnie za ramię.

- Jak ręka? - spytał cicho.

- W porządku - odparłam krótko, nie patrząc na niego. W rzeczywistości piekielnie bolała.

- Przepraszam.

- Mhm.

W myślach wciąż rozkazywałam Mickeyowi, żeby w ciasnych wnętrzach tej chaty trzymał się ode mnie z daleka. Nie mogłam znieść nawet tych nielicznych, raczej przypadkowych dotknięć. Do głowy przychodziły mi słowa: twardziel, samotnik, stoik i morderca. Tymi słowami D. H. Lawrence określił Sokole Oko Jamesa Fenimore'a Coopera.

- Najlepiej zrobisz, jeśli wyjedziesz rano, oczywiście po pogrzebie - powiedział. - Masz bilet Aer Lingus i zrobisz, co będziesz chciała, ale może się jeszcze zastanowisz nad tym, co masz do wyboru. Co tydzień z Cobh wypływają frachtowce do Ameryki, z niezłymi kajutami dla pasażerów. Żarcie jest znośne i w ogóle to nie najgorszy pomysł na spędzenie dwóch tygodni. Może ci to będzie pasowało, taki powolny powrót, czas tylko dla siebie. Na panamskich statkach raczej nie zadają pytań. Podam ci jakieś namiary, jeśli chcesz.

- Nie boję się pytań. Nie mam nic do ukrycia - zachnęłam się.

- Nie, ty nie masz. - Westchnął. - Spiszę te informacje, zostawię ci je na stole. No to tyle. Rano będziesz mogła ostatni raz popatrzeć na swój obrazek, obiecuję ci. - Pochylił się, jakby chciał mnie pocałować, a ja zamarłam. Znieruchomiał na chwilę, a potem poczułam muśnięcie jego warg na swoim czole. - Ach, Patricio - szepnął. - Kochałbym cię, gdyby moje życie pozwalało mi kogoś kochać. Uwierz mi, proszę, ja z tobą w nic nie grałem. Musisz zrozumieć, jak tu jest. Ciągłe upokorzenia. Tkwimy w nich wszyscy jak w pułapce. Dlatego musimy walczyć. Musimy stawiać opór. Ale taka wielka, pierdolona nienawiść robi z nas inwalidów.

Przywiozłam tu tylko jedną spódnicę, dość przasną, z granatowego sztruksu. Włożyłam ją teraz, chociaż wiedziałam, że rano znowu będę musiała się w nią ubrać na pogrzeb.

Drzwi domu Mary otworzyły się, kiedy do nich podchodziłam, i wyszedł z nich Kieran O'Mahoney. Razem z nim pojawiło się też kilka kotów, które natychmiast umknęły w mrok. Kto je będzie karmił? Przyszło mi do głowy, że od kilku dni nie widziałam Tiggy'ego. Irlandzkie koty najwyraźniej potrafią zarabiać na życie.

Kieran nie zauważył mnie. Przystanął, przeżegnał się, po czym zapalił papierosa. Podeszedł do samochodu wciśniętego w wyrwę w murze, który biegnie wzdłuż drogi.

Nie miałam ochoty na rozmowę, więc czekałam w cieniu, obok kurnika Mary, gdy tymczasem Kieran długo i hałaśliwie sikał na ścianę, po czym wsiadł do samochodu, wycofał go na podwórko i w końcu wyjechał na szosę.

Nora z dwiema innymi kobietami z parafii obmyła ciało Mary i ułożyła je na łóżku, odziewszy w białą szatę. Zorientowałam się, że to musi być całun. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam. Mary zrobiła się malutka, jakby śmierć ją skurczyła, jakby wysssała z niej coś, co zajmowało dotąd w niej miejsce. Nie wiedziałam, jakie tu panują zwyczaje, ale wiedziona instynktem podeszłam do łóżka, uklękłam i znalazłam pocieszenie w archaicznej familiarności *Zdrowaś Mario* i *Ojcie nasz*.

Nora przedstawiła mi bratanka Mary, Petera Carew, i Kathleen, jego żonę w bardzo zaawansowanej ciąży. Peter to wysoki, z wyglądu nieśmiały, dwudziestoparoletni mężczyzna o wiotkim uścisku ręki. To on odziedziczył dom Mary. Kathleen złapała mnie za rękaw i zaczęła się tłumaczyć, że wcześniej zajrzał tu na chwilę pastor z Clonakilty i pozwolił im postępować wedle ich uznania.

Kathleen, podobnie jak wszyscy sąsiedzi Mary, jest katoliczką. Robili wszystko zgodnie z tradycją, mimo że pogrzeb miał się odbyć rano w jakimś kościele protestanckim. Kathleen wyznała mi, że Peter to „bezbożny poganin, który nie uznaje żadnej religii”.

W izbie, w kilku miejscach, migotały świece. Niektóre meble były okryte białymi prześcierałami. Gdzie ja widziałam to wewnątrz? U Hogartha? Breughla? Jana Steena?

Sypialnia była wąska i duszna, więcostałam tam kilka uciążliwych minut, gadając o niczym z małżeństwem Carew, Norą i dwiema innymi kobietami, które siedziały na trzech krzesłach ustawionych w rzędzie, jak bawiące się w pociąg dzieci, po czym zesłam z powrotem na dół.

W domu było jeszcze kilkoro innych ludzi; jednych znałam ze wsi, ale niektórych widziałam pierwszy raz w życiu. W pokoju gościnnym wystawiono jedzenie i napoje. Z jakiegoś powodu bardzo to przypominało gościnność Mary, tak więc zachciało mi się jeść, zwłaszcza że cały dzień prawie nic nie jadłam, a u Mary poczułam się lepiej, bo jej dom wydawał się znajomy, mimo że nigdy wcześniej nie byłam w środku.

Na stojąco, przy stole, zjadłam kanapkę z szynką i dużą ilością majonezu, przyglądając się rzeczom Mary: serwetkom, muszłom, porcelanowym figurkom, okropnym dziewiętnastowiecznym portretom przodków w ramach z pozłacanego gipsu.

Pewien starszy pan - rozpoznałam w nim jednego z tych bywalców pubu, którzy mi się zawsze przyglądają, kiedy schodzę do wsi - odziany w najlepsze niedzielne ubranie, od którego biło oparami naftaliny, pochylił się w moją stronę, po czym sięgnął przez stół, żeby nalać sobie następną whisky, kończąc przy okazji butelkę. Podniósł ją do światła, popatrzył spod zmrużonych powiek, jakby spodziewał się coś odkryć w pustym szkle.

- A panienska wie, dlaczego pustą flaszkę po whisky nazywają martwym żołnierzem? - zagaił uprzejmie.

- Nie.

- A bo duch z niej uchodzi. Widzi panienska? Butelczyna pusta i nie ma w niej ducha. Martwy żołnierz. Tak właśnie na nią mówią. Tak, tak. Panienska o tym wiedziała? - Położył butelkę na kanciastym boku i zatarł ręce, bardzo z siebie zadowolony.

- Donal, przestań no ty flirtować z panią z Ameryki - ostrzegł identycznie ubrany mężczyzna, który siedział przed telewizorem.

Odbiornik był włączony, ale bez fonii. Kolana mężczyzny zalewała migająca błękitna poświata. Emitowali *Dynastię*.

- Ten Donal to się zachowuje jak pies z dwoma ogonami, kiedy uda mu się pogadać z ładną dziewczyną. Może kawałek ciasta, kochaniutka? - spytała żona Hugh O'Keeffe'a.

Z grzeczności, czując się obco wśród nich, przyjąłam kawałek, który mi podsunęła, choć nikt inny nie miał ochoty na ciasto. Było pokryte grubą sztukaterią z różowego lukru o smaku smalcu.

- Bardzo dobre - pochwaliłam po przełknięciu małego kęsa.

Hugh O'Keeffe podniósł wzrok znad stołu. Zauważyłam, że jest pijany. Prawie wszyscy mężczyźni w tym pokoju byli pijani.

- To specjalność Orli - powiedział, wymawiając słowo „specjalność” z nadmierną emfazą. - Robi je na oślich bobkach.

- Nigdy w życiu - zapewniła mnie Orla O'Keeffe, kładąc mi na ramieniu ogromną, stwardniałą od pracy dłoń.

Kiedy na dół zeszli państwo Carew, wyczułam w powietrzu dziwne fluidy. Nie lubiano ich tutaj.

Drzwi się otworzyły i zjawiała się Annie Dunne, niczym zła wróżka na chrzcinach. Miała na sobie czarną spódnicę, staroświecką, szytą trochę jakby na hiszpańską modłę. Podejrzliwie zmierzyła wzrokiem wszystkich obecnych. Kilka kotów czmychnęło za zamykające się drzwi, sprawiając, że do zatęchłej izby wleciał świeży powiew.

- Co za szkoda, co za szkoda - zgromiła wszystkich obecnych Annie. - A panna - wbiła we mnie wzrok - ostatnia widziała Mary żywą, panna o tym wie? To fakt. Gliniarze mi powiedzieli. Przesłuchiwali mnie, ma się rozumieć, zadawali pytania i w ogóle. Wiedzieli, kto będzie wiedział, co i jak w Ballyroe, dobrze wiedzieli.

- Akurat! Przystanęli, żeby kupić ćmiki i chipsy, i tyle - wymamrotał Donal. - To Annie ich przesłuchała.

Przez kilka następnych godzin ludzie wchodzili i wychodzili małymi grupkami, ale około drugiej zostałyśmy już tylko ja, Nora i Orla O'Keeffe. Państwo Carew wyszli wcześniej, chyba trochę zawstydzeni, że uchylają się przed powinnością nocnego czuwania, chociaż Nora wyganiała ich, powtarzając, że Kathleen musi się położyć. Razem z Norą umyłyśmy naczynia - „statki” - niewiele rozmawiając. Powiedziała mi, że poznała Petera, kiedy jako mały chłopiec przyjeżdżał do Mary co roku na dwa tygodnie, zawsze w sierpniu.

- Nigdy nie był z niego kawał chłopca, więc ludziom nie chciało się w głowach pomieścić, że w takim pośpiechu musiał się zenić z tą Kathleen O'Leary. Jej ojcu też to nie było w smak. Coś lepszego planował dla najmłodszej córki, niż wydawać ją za Angoła z cienką herbatką w żyłach, chociaż Peter sporządzał przy niej, tego mu nie odmówię - powiedziała Nora.

- Więc to się zdarzyło niedawno? - Przez chwilę byłam zdezorientowana.

- Ale gdzie tam, ona nosi już szóste pod fartuchem. Weszło im to w nawyk.

Kiedy wycierałam talerze i kubki Mary, jej własną ściereczką, ogarnął mnie smutek, poczułam, że za nią tęsknię. Zastanawiałam się, co Peter zrobi z tą chatą. Sprzeda ją? Wynajmie? Nora wyszła akurat, mówiąc, że musi na godzinkę skoczyć na dół, żeby sprawdzić, co z tą chorą krową, której doglądają jej chłopcy.

Zaniosłam Orli na górę filiżankę świeżej herbaty. Widocznie tradycja wymagała, by ktoś nieustannie czuwał przy zwłokach - zauważyłam, że Mary przez cały wieczór ani na chwilę nie została sama.

Ucieszyłam się, kiedy Orla powiedziała, że jeśli nie mam nic przeciwko temu, chciałyby się rozprostować (po jej opuchniętych kostkach było widać, że musi mieć problemy z krążeniem), i pod-

niosła się ociężale. Powoli zeszła po schodach, stopień po stopniu. Gdy tak człapała, słyszałam, jak filiżanka podzwania o spodek.

Zostałam z Mary przez chwilę sam na sam. Dość czasu, żeby jej powiedzieć to, co musiałam.

Kim dla mnie była? Nie znałam jej dobrze. Była starszą panią, Szkotką, lubiła sobie poczytać, kochała swoje koty i ogród. Pozostaniemy związane na zawsze. Będzie umiała dochować sekretu.

Po pewnym czasie Nora wróciła, a Orla poszła do domu. Siedziałyśmy z Norą przy łóżku, w milczeniu, to przysypiając, to czuwając, przy świecach, które dopalały się na spodkach. Śniło mi się bezkresne morze, które zamieniło się w zielone pola. Brnęłam przez nie, ale wtedy ziemia pod moimi stopami znów stała się wodą, a wzgórza, które były tylko skamieniałymi falami, na nowo zaczęły się burzyć. Ocknęłam się ze słowem „maligna” w głowie. Nora jeszcze dwa razy odmówiła różaniec, a ja za każdym razem przyłączałam się do niej. Potem zapadłam w głębszy sen, wciąż siedząc na krześle, a kiedy się zbudziłam, było już widno. Kark tak mnie bolał, jakbym spała w pociągu. Do drzwi dobijał się zniecierpliwiony człowiek z firmy pogrzebowej. Na podwórzu stał karawan, ogromny zabytkowy karawan o szklanych ścianach.

Kevin Donohue i jego pomocnik zepchnęli trumnę na platformę z kółkami i podnieśli wieko. W obcisłych ciemnych garniturach wyglądali jak statyści z filmu. Trumna była pusta. Oczywiście musiała być pusta, ale wyglądało to jakoś dziwnie. W ostrym świetle poranka pofałdowana czerwona satyna wyściełająca jej wnętrze wyglądała tandetnie. W kuchni Nora pobrzękiwała naczyniami, przygotowując kolejny dzbanek herbaty. Irlandczycy żywią głębokie przekonanie, że herbata pita w dużych ilościach to antidotum na wszystko. Donohue wszedł do środka razem ze swoim pomocnikiem i wszyscy czworo, pogrążeni w kłopotliwym milczeniu, zasiedliśmy do herbaty i starych biszkoptów z blaszanego pudełka. Smakowały, jakby leżały w nim od Bożego Narodzenia.

Razem z Norą pomogłyśmy im otulić Mary w białe prześcieradło, a potem oni owinęli ją inną białą tkaniną, bardziej zgrzebną, tak że była zupełnie opatulona, jak mała mumia. We dwóch znieśli wąskimi schodami ciało Mary na płóciennych noszach. Musieli ją trzymać niemal pionowo, by pokonać dolny stopień.

Ułożyli ją w trumnie i zamocowali wieko. Nora wprawdzie wyjaśniła mi wcześniej, że Mary zostanie złożona do trumny tak jak teraz, w całości, i że nie będzie żadnego ubierania ciała, bo trumna i tak ma być zamknięta, ale w tym momencie zrobiła zafrasowaną minę i mruknęła do mnie:

- Pogrzeb z zamkniętą trumną. Oni tak właśnie postępują z ludźmi, którzy należą do Kościoła Irlandii. To się nie godzi. To nie po naszymu. Ani trochę. Nie tak się powinno wyprowadzać zwłoki.

Donohue dosłyszał ją i powiedział:

- Wybacz, Nora, tak kazał sam szef z Clon. Ludziom z Kościoła Irlandii tak się właśnie podoba.

Może to nie ma znaczenia, ale poczułam szczerą niechęć do tego człowieka. Uriah Heep z Clonakilty. Trumna wsunęła się do otworu, drzwi zostały zamknięte. Donohue siadł za kierownicą, po-

mocnik obok niego, obaj w idiotycznych okularach przeciwsłonecznych z oprawkami z czarnego plastiku, i karawan ruszył. Strasznie nie pasował do tego znajomego odcinka drogi. Odprowadzałam go wzrokiem, dopóki nie zniknął za zakrętem, a potem wyszłam na drogę, żeby pójść spakować rzeczy i przebrać się na pogrzeb.

Nora zawołała za mną, że jeśli chcę, to mogę się dosiąść do jej rodziny, ale ja nie rozumiałam, o co jej chodzi, póki nie wyjaśniła, że podrzuci mnie do kościoła w Clonakilty swoim samochodem, za godzinę, jak tylko się upora z dojeniem. Przyjęłam propozycję z wdzięcznością, wcześniej nawet się nie zastanawiałam, jak ja się tam dostanę.

Chata robiła wrażenie opustoszałej, ale jakoś inaczej niż dotąd. Spakowałam torbę, nie dostrzegając nigdzie śladu Mickeya. Zostawił mi informację o frachtowcach w Cobh i rozkład jazdy autobusów. Cóż za troskliwość. Włożyłam najładniejszy sweter, w nadziei, że będę wyglądać w miarę przyzwoicie. Włosy miałam oklapnięte - nie myłam ich od pięciu dni. Kiedy stawiałam torbę przy drzwiach, zauważyłam własne odbicie w szybie. Wyglądałam okropnie, blado i mizernie. Ale dlaczego miałabym wyglądać inaczej? Zostawiłam na wierzchu dzinsy, na przebranie; w torbie poza tym było wszystko inne, co chciałam zabrać do domu, z wyjątkiem tego notatnika, który zamierzałam trzymać przy sobie, w torebce, na wypadek gdyby ktoś chciał przeszukać moje rzeczy.

W drodze do Clonakilty zbierało mi się na wymioty, ponieważ Pat O'Driscoll prowadził fatalnie, drogi kręte, tłumik ledwo działał, a od całego klanu O'Driscollów zionęło mieszaniną naftaliny i niedomycia. Upchnęli mnie z tyłu, między dwoma synami. Dwaj inni zostali w domu, żeby doglądać krów. Samo nabożeństwo żałobne było niedbałe i niegodne wzmianki, uczestniczyli w nim głównie miejscowi parafianie, niewielu sąsiadów z Ballyroe zdecydowało się przyjechać. Pastor wydał mi się zimny, klepał modlitwy z pamięci. To nie miało nic wspólnego z Mary Carew, którą przecież trochę poznałam.

Miała już nagrobek z wyrytym nazwiskiem i datą urodzenia, przy której był myślnik. Kamieniarzowi wystarczy chwila, żeby dodać rok jej śmierci. Nabożeństwo się skończyło, pastor skrył się we wnętrzu kościoła, prawie wszyscy się rozeszli, a ja zostałam i patrzyłam, jak trumna wędruje do ziemi. Pożegnałam się z Mary tej nocy, gdy byliśmy same. Teraz na chwilę przymknęłam oczy, słuchając odgłosów łopat zanurzanych w pryzmie ziemi, a potem stukania brył uderzających o lakierowane drewno.

Podczas pogrzebu Katie nabożeństwo odprawiono przy grobie. Tamtego straszego dnia nasi przyjaciele zebrali się pod drzewami, na cmentarzu; najwyraźniej pamiętam odgłos grud ziemi padających na drewniane wieko jej małej trumienki. Wiedziałam, że ona tam jest, zmarznięta i samotna. Podobno chwyciłam łopatę i gorączkowo szuflowałam, jakbym chciała własnoręcznie zasypać dół, aż wreszcie Sam wyjął mi tę łopatę z ręki, a potem nasi przyjaciele po kolei zasypywali grób ziemią, gdy

tymczasem Sam trzymał mnie w objęciach. Gorzka rozpacz. Byliśmy dwojgiem załamanych ludzi, każde z nas samotne w naszej wspólnej żałobie. Już nigdy nie moglibyśmy się połączyć.

Przez chwilę miałam przed oczyma Mary. Próbowałam sobie wyobrazić wnętrze jej trumny, tę litą ciemność, której już nigdy nie miało przeniknąć światło. Nie odeszłam, póki nie zobaczyłam, że grabarze wrzucili do otworu dość ziemi, by całkiem przykryć trumnę. Nikogo już nie było. Rodzina Nory czekała w samochodzie, przyglądając mi się przez zaparowane szyby. Kiedy wsiadałam, Nora powiedziała z wyrzutem:

- U nas to nie jest w zwyczaju, żeby się przyglądać, jak zakopują trumnę.

Od farmy O'Driscollów zeszłam do zatoczki Gortbreac. Przed chatą stał ubłocony samochód, jeden z tych, które Nora nazywa starymi gruchotami. Miał ohydne, brudne pokrowce na siedzeniach, ze wzorem w tygrysie paski, jedno z tylnych okien wypełniała płyta z karbowanego plastiku zamocowana taśmą klejącą. Weszłam do środka. Mickey siedział przy stole z dwoma innymi mężczyznami, pili herbatę i jedli herbatniki o nazwie „Siódme niebo”. Jednym z nich był ten człowiek z Telekomunikacji Irlandzkiej, drugim Willy Hayes, listonosz. Jedno rozczarowanie mniej, jedno więcej... Obraz leżał na stole.

Wszyscy trzej unieśli palce w lakonicznym, charakterystycznym dla Cork geście pozdrowienia; tak samo machają do siebie, kiedy spotykają się na drodze za kierownicami traktorów albo samochodów. Będzie mi brakowało tego miejsca. Nie zwracając uwagi na faceta z Telekomunikacji, przez chwilę pytając patrzyłam na Willy'ego, a on skinął głową, lekko wzruszając ramionami na potwierdzenie.

- Zmiana planów - powiedział Mickey.

Co znowu? Nagle się przeraziłam. Przez chwilę naprawdę myślałam, że postanowili mnie zabić.

- Wracamy do planu A. Hałas to ryzyko, na które nie możemy sobie pozwolić. Ale miałaś dobry pomysł. Dlatego naszykowaliśmy benzynę i trochę starego siana z szopy.

- Spalicie go?

- Ano spalimy. Czekaliśmy tylko na ciebie. No jak tam, ładnie pożegnali staruszkę?

Nie odpowiedziałam. Podniosłam obraz ze stołu i przesłam przez pokój, żeby popatrzeć na niego w świetle, przy oknie.

- Zdejmę to szkło - powiedziałam. - Nie będzie wam potrzebne.

Szłam za nimi, niosąc obraz. W milczącej procesji wyszliśmy na boczne podwórze. To tam widziałam ślady wcześniejszych ognisk. Było bardzo cicho. Pewnie prawie wszyscy w Gortbreac zasiadali właśnie do obiadu, podawanego tutaj w połowie dnia.

Przy jednej z kupek popiołu stała zapleśniała bela siana i czerwony plastikowy kanister na benzynę. Facet z Telekomunikacji wyciągnął z kieszeni kurtki miniaturową kamerę i zdjął wieczko z obiektywu.

- Wszyscy mają się zamknąć - polecił. - Na tej taśmie nie ma być żadnych głosów. Nie ma być na niej nic, co pomogłoby namierzyć to miejsce. Będę ciasno kadrował.

Mickey delikatnie rozgarnął siano, tworząc luźne, z wyglądu wygodne gniazdko, a potem Willy ułożył na wierzchu egzemplarz aktualnego „Irish Timesa”, tak by jak najlepiej widać było nagłówek. W Mallow doszło do awarii kanalizacji, zatrucie ryb w rzece Blackwater miało źle wpłynąć na najbliższy sezon wędkarski.

Ułożyłam obraz na gazecie, delikatnie, jakbym układała śpiące dziecko w łóżeczku. Wszystkie kolory wydawały mi się zabłocone, wytarte, przytłumione przez dziwny światłocień nieba, po którym sunęły chmury. Miała puste oczy. Ręce płaskie, bezmyślne, bez formy, bez wdzięku. W tym obrazie nie było magii. Niemrawy popołudniowy wiatr zdawał się wypierać całą przejrzystość z powietrza.

Mickey oblał wszystko benzyną. Willy zapalił zapałkę. Było tak cicho, że słyszałam szum kamery. Rzucił zapałkę i w górę wystrzeliła płachta ognia, ze wstrętnym, czarnym dymem kłębiącym się z brzegu.

To był bardzo mały obraz i już po chwili przestał istnieć. Osmalona deska paliła się jeszcze przez kilka minut. Facet z Telekomunikacji zrobił najazd, przykłękając, żeby pokazać cienkie, zwęglone kawałki ramy, wciąż ułożone w kształt prostokąta. Zaczęłam się oddalać. Mickey zgarnął patykiem czarne resztki na stertę, a potem rozlał pozostałą benzynę na ostatnie kępki siana. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na niego po raz ostatni. Twarz miał obojętną, nijaką. Jeszcze zabłysła iskra, płomień skoczyły w górę. Niebawem szczątki deski przeobraziły się w biały popiół, który niczym śnieg unióśł się razem z wiatrem.

Nie miałam nic więcej do powiedzenia Mickeyowi. Nie mam nic nikomu do powiedzenia. I nie sądzę, by to się miało zmienić, w każdym razie nie przez długi, długi czas. Mam w sobie pustkę. Widziałam koniec *Lekcji muzyki*. Przebrałam się, wzięłam torbę i wyszłam. Nie obejrzałam się za siebie.

Byłam dopiero w połowie drogi do Ballyroe, kiedy usłyszałam za sobą traktor, a gdy zesłam na pobocze, żeby go przepuścić, usłyszałam, że zwalnia i przystaje. Odwróciłam się - to był Billy Houlihan. Nigdy się nie dowiem, czy wybierał się do wsi, czy też zobaczył mnie z torbą i pojechał za mną. Może to po prostu jedna z tych przypadkowych symetrii życia. Podrzucił mnie do wioski, gdzie mogłam złapać autobus do Clonakilty, a stamtąd z kolei do Cobh.

- A więc opuszcza nas pani? - przekrzykiwał warkot traktora, gdy wdrapywałam się na naczepę.

Kiwnęłam głową. Kilka minut później wysadził mnie w Ballyroe, po czym podał mi rękę. Poczulałam, że ta szorstka, pokryta odciskami dłoń ściska mnie szczególnie mocno. Trzymałam ją przez chwilę. Billy był jedyną osobą, z którą się pożegnałam.

Te ostatnie słowa piszę w małym pensjonacie w Cobh. Nie spałam całą noc, za chwilę zejdę na moje ostatnie irlandzkie śniadanie. Umieram z głodu. Mam miejsce na panamskim frachtowcu, który wypływa dziś po południu z mieszanym ładunkiem - drewno, węgiel, części do maszyn - biorąc kurs

na Halifax, co brzmi sensownie, jeśli wziąć pod uwagę paradygmaty historii. Mickey miał dobry pomysł. Powrót do dawnego życia drogą powietrzną, w ciągu kilku godzin, byłby brutalny. Potrzebuję czasu. Posłałam do Pete'a pocztówkę z wiadomością, gdzie jestem i kiedy prawdopodobnie przybijemy do brzegu.

Wrócę do Nowego Jorku, do życia, w którym nie zmieniło się nic i zmieniło się wszystko, do życia, w którym nic nie będzie już takie samo i wszystko będzie takie samo. W związku z Mickeyem najbardziej tęsknię za możliwościami, za tym, co mogło się stać. I będę tęskniła za tym, jaka przy nim byłam, za tym, jak myślałam o przyszłości. Będę tęsknić za tą krainą elokwentnych narratorów, którzy nie odróżniają prawdy od fikcji.

Niedługo wrócę do pracy w bibliotece Fricka. Już sobie obmyśliłam, gdzie ten notatnik będzie bezpieczny przez bardzo długi czas. Oczywiście, czytelniku, nie muszę dokładnie opisywać, który tom regulaminowych duplikatów publikacji na temat fałszerstw dzieł sztuki wybrałam na idealne miejsce spoczynku tych zapisków, bo skoro czytasz moje słowa, to wiesz, gdzie je znalazłeś. Mam tylko nadzieję, że kiedy skończysz czytać, będziesz rozumiał, że te notatki trzeba z powrotem schować tam, gdzie były. Proszę, miej dość przyzwoitości i odwagi, żeby je tam zostawić.

Mam nadzieję, że będę żyła dostatecznie długo, by zawrzeć pokój ze światem pełnym ludzi, którzy patrzą, ale nie widzą, którzy słuchają, ale nie słyszą.

Wyłynę z tego kraju, tak jak kiedyś zrobił to Michael Dolan, zmierzając do Nowego Świata, z nadzieją na lepsze życie. I prawda jest taka, że dzięki dniom spędzonym tutaj będę żyła lepszym życiem niż to, które wiodłam przedtem. Moja dłoń się zagoi. Mam nadzieję, że zostanie blizna.

Któregoś dnia odbędę z Pete'em krótką rozmowę na temat Mickeya, w trakcie której uzgodnimy, że nie będziemy już wracać do tego tematu, i rzeczywiście tak się stanie. Mam nadzieję, że Pete ma jeszcze przed sobą kilka dobrych lat i że czeka go lekka śmierć.

Zapewne zdziwaczeję na starość. Zamierzam hodować mnóstwo kotów. Chociaż spodziewam się, że przeżyję swoje życie w samotności, nie jestem samotna i nigdy nie będę. Kilku osób, które kocham najbardziej, nie ma już wśród żywych, ale za to żyją we mnie. Myślę o mojej matce, o tym, w czym być może ją przypominam. Mogę zacząć myśleć o Katie, o tym, w czym ona mogłaby przypominać mnie. Wciąż wybieram życie, nawet jeśli ono musi być jedną wielką stratą.

Oczywiście przywiozłam ze sobą własną reprodukcję *Lekcji muzyki*. Jedną z tych luksusowych, kupioną we Fricku, w sklepie z pamiątkami, ze zniżką dla pracowników. Trzymałam ją pod schodami, razem z tym notatnikiem. Przewidziałam, że może się przydać. Do ramy wpasowała się idealnie. I spaliła się też nie najgorzej. Na chwilę przeraziłam się tam wtedy, kiedy Willy potarł zapałkę, bo przyszło mi na myśl, że ta kopia może mieć akrylową powłokę, która rozbłysnie w jakiś wiele mówiący sposób, albo że sklejka się rozwarstwi czy coś równie okropnego. Jestem pewna, że przyplaciłabym to życiem. Ale spłonęła jak trzeba.

Myślę też o Mary Carew. Wierzę, że bardzo by jej się spodobało, że na jej sercu, już na całą wieczność, spoczęła *Lekcja muzyki*. Bo tam właśnie ona teraz jest, na cmentarzu w Clonakilty, w hrabstwie Cork, w Republice Irlandii, w świecie, we wszechświecie.



TLR